Paryżanin

CIEKAWE POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 12 ▭ Grudzień 1913

PARYŻANIN.

Redaktor: ..... ARTUR OPPMAN (Or-Ot). ☐ Wydawcy: ..... GEBETHNER I WOLFF.

WOŁODY SKIBA
(WŁADYSŁAW SABOWSKI)

▽▽

PARYŻANIN

KARTKA Z KRONIKI PARAFIALNEJ

WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1913

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Nr 1284A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

884-311,2

Wojska Biblioteka Publiczna
9264
Białystok

Drukiem Piotra Laskauera,
Warszawa, Nowy-Świat 41.

Rk 132 16.6.45

I.

„Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, kozacze?...”

Tak rozpoczął swój poemat Malczewski, tak i my dla efektu mamy prawo zacząć, chociaż Wasyl, który właśnie na stacyi kolejowej Borki Wielkie dosiadł konia i puścił się w drogę ku Narajówce, a więc w stronę południowo-wschodnią, może tylko rysami twarzy, ale nie ubraniem, nieco przypominał kozaka, a zresztą nie miał ani konia bardzo szybkiego, ani tak znów na nim nie pędził.

Bądźcobądź, czy koń z większym, czy z mniejszym postępował pośpiechem, podróż Wasyla miała prawo nazywać się szybką, gdyż była dalszym ciągiem i dokończeniem wędrówki iskry elektrycznej z ulicy Kopernika we Lwowie do Narajówki na Podolu galicyjskiem.

Wasyl pełnił tym razem z amatorstwa obowiązek posłańca telegraficznego i wiózł z sobą starannie ukryty w zanadrzu zwitek papieru, na którego zewnętrznej stronie przyklejony był wązki pasek, z wydrukowanymi niebieską farbą, za pomocą przyrządu Hughuesa, bez wszelkich akcentów, bo te w telegrafii nie uchodzą, wyrazami: „Horenski, Narajowka”.

Co się tam znajdowało wewnątrz tego zwitku, mało to obchodziło Wasyla. Dla niego głównie interesującym był dopisek z urzędu, umieszczony również na zewnętrznej stronie: „posłańcowi należy się 50 centów". Dla tego dopisku jedynie Wasyl, niebardzo podobny do kozaka, na koniu niebardzo podobnym do szybkiego, podjął się, na propozycyę urzędnika stacyjnego, wycieczki do Narajówki, do której osobiście nie miał żadnego interesu, ale do której drogę znał doskonale.

Ujechawszy około pół mili, Wasyl ujrzał zdaleka ładny, niestary i dosyć z pańska wyglądający dwór w Narajówce, poza którym widać było szereg porządnych zabudowań gospodarskich, a z drugiej ogród wielki, obfity w drzewa cieniste i starannie utrzymywany.

Dwór ten, zabudowania i ogród pięknie się rysowały na tle malowniczej ziemi podolskiej.

Przemówiwszy do konia kilka zachęcających wyrazów, w jakiemś zrozumiałem dla niego a z samych wykrzykników złożonem narzeczu, Wasyl szybko stanął przed dworem.

Domyślono się w nim widać posłańca, bo jeden ze służących wyszedł naprzeciw niemu.

— *A z widki?*—zapytał.

— *Z Borkiw, wid telegrafu*—odpowiedział Wasyl, dobywając z zanadrza tajemnicze pismo.

Służący spojrzał na adres i zaniósł telegram panu.

Właścicielem Narajówki był pan Cezary Horyński, telegram był adresowany do niego.

Pomimo wielkiego rozpowszechnienia telegrafii w naszych czasach, nie wszędzie jeszcze depesza telegraficzna jest pospolitem, codziennem zjawiskiem. Bywają parafie,

w których pojawienie się posłańca z telegramem przyjmowane jest z pewnem wzruszeniem. Elektryczność rzadko nawiedza te zacisza i gdy się pojawi, najczęściej niewesołe przynosi nowiny. Spada iskrą bez drutu i zapala słomianą strzechę, spływa po drucie i zawiadamia o śmierci, albo o chorobie osoby oddalonej a drogiej.

Pan Cezary Horyński, człowiek już niemłody, mogący mieć lat około pięćdziesięciu, silnie zbudowany, zdrów, ogorzały, jak większa część naszej szlachty, prowadzącej czynne życie na wsi i nie bawiącej się w sybarytów i wielkich panów, z wyrazem dobroduszności w pełnej, okrągłej twarzy, z ruchliwemi oczyma, wielkimi wąsami i krótko strzyżonym włosem, należał także do tych, co jeszcze przy odbieraniu telegramu doznają pewnego wzruszenia.

Cokolwiek się tam mieścić mogło na tej tajemniczej, zaklejonej pieczęcią urzędową karcie, zawsze było to coś niespodziewanego, a pan Cezary nie lubił niespodzianek, które w życiu sprawiają zamęt i bieg jego regularny z utartej wyrzucają kolei.

Ważył telegram przez chwil kilka w ręku, jakby chciał z wagi jego treść odgadnąć; nareszcie zdecydował się, rozdarł pieczątkę przyklejoną, poniósł pismo do oczu i wpatrywał się w nie przez chwilę.

Niewiele jednak dowiedział się z tego przeglądu.

Telegram był zredagowany po francusku, a pan Cezary, chociaż należał do inteligencyi okolicznej i chociaż obracał się w sferach wyższego obywatelstwa, w których Francuz mógłby być jak u siebie w domu, nie był zupełnie tego języka świadomy, co niechaj mu nie będzie za straszną winę poczytanem, wiadomo bowiem, że umiejętność wyrażania się obcą mową niekoniecznie jest

już wyższego ukształcenia i zdrowego rozumu barometrem.

— Śmieszna historya, ale gniewa zamiast bawić!— rzekł półgłosem łatwo zapalny a jeszcze łatwiej stygnący pan Cezary, z widocznym gniewem—skąd temu jegomości przyszła francuszczyzna do głowy?... Sprawa musi być pilna, kiedy telegrafuje, gdyby mu nie było pilno, toby napisał list... Ale doskonale się wybrał!... Jestem sam w domu, *parle franse* nie umiem, a bab, jak na złość, z miasta nie widać!...

Włożył okulary, popatrzył jeszcze, ale wpatrywanie się ani o krok dalej nie posuwało sprawy.

Nagle pan Cezary, odwróciwszy wzrok od telegramu, spotkał oczyma służącego, który po oddaniu telegramu stał jeszcze, czekając znaku do odejścia.

— Słuchaj-no, Kajetanie—rzekł—to dobrze, że mi się przypomniało... ty podobno byłeś za granicą?

— Tak, proszę jaśnie pana—odpowiedział sługa—robił ta człowiek różne historye... był niby na wojnie, a potem dostał się za granicę... Tam człowieka odstawili do Krakowa, potem do Hołomuńca, a potem do Meksyka, za morze. W Meksyku źle się działo, proszę jaśnie pana, ale jakoś, Bogu dzięki, człowiek nie zginął i dostał się do Paryża.

— Byłeś w Paryżu?

— Było się przez sześć lat, jaśnie panie.

— I umiesz po francusku?

— Umie się, jaśnie panie... *Wuj, mosje, że pe parle franse... wuj! że pe!*...—odpowiedział Kajetan.

— A to wybornie się złożyło!—rzekł z zadowoleniem pan Horyński—kiedy tak, to masz, przeczytaj!

Kajetan w pierwszej chwili machinalnie wyciągnął rękę po telegram, ale ją nagle cofnął, nie biorąc podanego papieru.

— Ja myślałem—rzekł—że jaśnie pan tylko o gadanie pytał. We Francyi, proszę jaśnie pana, gadało się dużo, ale nie czytało się nic.

Pan Cezary wybuchnął gniewem.

— Masz tobie! to ciemięga! nie umie czytać!—zawołał.

Pomysłowy Kajetan ośmielił się podać sposób ominięcia tej trudności.

— Byłaby na to rada, jaśnie panie—bąknął.

— Ciekawym jaka?—zapytał pan Cezary.

— Gdyby tak jaśnie pan przeczytał, to się zaraz powie, co znaczy każde słowo—poddał ostrożnie sługa.

Pan Horyński znalazł się trochę w trudnem położeniu. Wstyd mu było przyznać się przed służącym, że po francusku czytać nie umie. Człowiek nieoświecony mógłby to dziwnie zrozumieć, a tymczasem pan Cezary z całej francuszczyzny wiedział tylko tyle, że się nie tak czyta, jak napisane. Ba! ale znowu Kajetan, który czytać nie umiał, nie mógł wiedzieć o tym sekrecie.

Pomyślał sobie zatem pan Cezary:

— Cóż to szkodzi? Czytajmy jak się da.

I podniósłszy telegram do oczu, zaczął sylabizować jak po polsku z telegramu, w którym, jak to zazwyczaj bywa w telegramach drukowanych za pomocą przyrządu Hughuesa, znaki pisarskie miały swój odrębny system, krzyżykowy, gwiazdkowy i kropkowy, akcentów nad głoskami i pod głoskami nie było wcale, a wyrazy rozpadały się nieraz w środku najniepotrzebniej, ażeby się dalej

trochę zlewać w jeden, tam, gdzie również tego nie było potrzeba.

— „*Jar rive*"—przesylaibzował pan Horyński—no, gadajże, co to jest „*jar rive?*"

Kajetan powtórzył ten wyraz, czy te wyrazy ze zdziwieniem, po swojemu, z pewną modyfikacyą brzmienia jednej samogłoski:

— *Jarywe?...*

Zaczął się zastanawiać, szukać w pamięci, ale naprożno.

— Nieszczęście, proszę jaśnie pana—rzekł—tego właśnie się zapomniało!...

— Tego właśnie!...—krzyknął z gniewem pan Horyński—tego właśnie!... Niechże cię piorun spali z twoją francuszczyzną!..

Umysł Kajetana nie próżnował podczas tej gniewnej admonicyi. Szukając jeszcze ciągle w pamięci, były żołnierz meksykański powtarzał w myśli zagadkowe słowa, modyfikując je rozmaicie:

— *Jarywe... rywe... arywe...*

Gdy wpadł na ostatnią kombinacyę, ucieszył się, jak Archimedes, gdy odkrył ciężar gatunkowy.

— Jest, jaśnie panie, jest!...—zawołał—jaśnie pan daruje... tak dawno nie było się we Francyi, że człowiekowi trochę wywietrzało z głowy. Ale jest, jest!... przypomniało się!... *Arywe* to znaczy: zbliż się tutaj, przychodź, przyjedź!... Tak jest, proszę jaśnie pana, *arywe* to znaczy: przyjeżdżaj.

— Hm! przyjeżdżaj!...—pomyślał sobie pan Cezary—to coś nowego! Zamiast sam tu przyjechać, wzywa mnie do siebie. Ciekawym, co dalej będzie.

I spojrzawszy znowu w telegram, zagadnął:

— A cóż znaczy *cesoir*?

Naturalnie ces było wymówione tak, jak w wyrazie *proces*, a *oi* brzmiało, jak gdyby było w *zbroi*.

Kajetan wzruszył ramionami i milczał zaambarasowany.

Pan Horyński wybuchnął znowu:

— Zjadłeś starego dyabła z twoją francuszczyzną! Więc nie wiesz, co znaczy *cesoir?...*

Kajetan znowu używał tego samego sposobu, który poprzednio okazał się tak skutecznym.

— *Cesoir... cezoir... cezory*—powtarzał w myśli.

Sposób i tym razem nie zawiódł.

— *Cezoir* to *Cezary*, imię jaśnie pana—zawołał nagle.

Pan Horyński uśmiechnął się. Śmiesznem mu się wydało, że Francuzi Cezarego przechrzcili na Cesoira.

Wiedział już dwa wyrazy, a te mu szereg myśli nasunęły.

— Wzywa mnie do siebie... nie nazywa mnie panem, lecz po imieniu... widać jakiś przyjaciel... ktoś, co ma prawo do takiej zażyłości. Może jest chory, może potrzebny, sam przyjechać nie może, czeka na mnie... No i ja byłbym nic nie wiedział, gdyby nie Kajetan, który przypadkiem...

Nie dokończył myśli. Należał do ludzi, którzy mają zwyczaj decydować się szybko, ażeby potem również szybko zmienić decyzyę, ale z toku jego myśli widzimy, że serce miał dobre i czułe na cudzą niedolę.

— Każ zakładać konie!—zawołał na Kajetana, zapominając o dalszym ciągu telegramu.

Służbista Kajetan zwrócił się ku drzwiom.

— Zaraz! zaczekaj!—zatrzymał go pan Horyński— trzeba się wprzód dowiedzieć, gdzie mieszka, gdzie na mnie czeka, jak się nazywa... „A Borki"... no, to sam rozumiem—mówił, patrząc w telegram—Borki, stacya kolei, niedaleko stąd... Ale cóż tu stoi dalej?... „*Enwo jezle schewa uks!*"... Wiesz, co to jest, Kajetanie?

Kajetanowi te cztery słowa może trochę lepiej przypominały język meksykański, niż francuski.

— Jaśnie pan znowu gniewać się będzie—rzekł nieśmiało—choć iść na stracenie, nie wie się nic.

Pan Horyński jednak tym razem nie rozgniewał się wcale. Mimo zapalczywości, podobnej do słomianego ognia, był to człowiek dobry z kościami. Przewidywanie, że się rozgniewa, rozbrajało go zawsze.

— Mniejsza o to!—rzekł—podpis wytłómaczy nam wszystko. Przecież na końcu musiał dodać, jak się nazywa.

Rzucił okiem na ostatnie wyrazy i przeczytał:

— „*Wotreneweu Francojs*"... Wotreneweu naturalnie nazwisko, ale co znaczy Francojs?... Kajetanie! co to jest Francojs?

Kajetan, ośmielony tem, że poprzednie interpretacye tak dobrze mu się powiodły, odpowiedział z całą pewnością:

— Francojs to Francuz, proszę jaśnie pana!

Teraz dopiero pan Horyński wybuchł naprawdę.

— A to sowizdrzał jakiś!—zawołał, gniotąc telegram— tylko Francuz może się na coś podobnego odważyć!... Nie znam go, nie słyszałem o nim, z żadnymi Francuzami nie mam styczności... Jakiś Wotrenewa, obieżyświat francuski, i on sobie myśli, że ja nie wiedzieć poco, może dla jakiegoś żarciku, będę jechał do Borków, z wizytą do takiego wiercipięty! Jeszcze tego brakowało!...

Podarł telegram i rzucił z pasyą na podłogę.

— Niechże sobie poczeka!—rzekł.

Zaczął się przechadzać po pokoju wielkimi krokami, wzburzony.

Kajetan tymczasem przebierał starannie szczątki telegramu, żeby nie zaśmiecały pokoju.

— Kajetanie!—zawołał nagle pan Horyński.

— Słucham jaśnie pana—wyprostował się sługa.

— Każ wyprzęgać... niech licho porwie Francuza!... No, czegoż stoisz... Ruszaj!

— Kiedy się jeszcze nie zaprzęgło, proszę jaśnie pana — odpowiedział Kajetan.

Pan Horyński nie słuchał odpowiedzi. Chodził po pokoju, rzucał się, mruczał pod nosem.

Gdyby kto podsłuchał jego mruczenie, toby się z niego złożył mniej więcej następujący monolog:

— Niech sobie czeka do rana, Francuz jeden!... Taka mu droga do mnie, jak mnie do niego!... Po jakiemubym gadał z tym rarogiem?

Rzucił znów okiem na pokój i spostrzegł, że były żołnierz meksykański stał nieporuszony na miejscu.

— Nie jadę!... zrozumiałeś? Ruszaj!

Kajetan znowu zwrócił się ku drzwiom, ale panu Cezaremu nagła myśl przyszła i zawołał za nim:

— Zaczekaj, wróć się!... Siądziesz na konia i pojedziesz do Borków. Dowiesz się o tego Wandermura i przypatrzysz mu się, jak wygląda... Możesz się z nim rozmówić, kiedy umiesz po francusku... Ruszaj!

Nim Kajetan doszedł do drzwi, postanowienie szybko decydującego się pana Cezarego nowej uległo zmianie.

— Zaczekaj-no, wróć się jeszcze!?—krzyknął—nie pojedziesz konno, lecz wózkiem.

— Dobrze, proszę jaśnie pana—odparł Kajetan, chwilę tylko się zatrzymawszy i chcąc iść dalej.

— Czekajże, gdzie się wleczesz?—burczał pan Horyński.

— Jedzie się do Borków wózkiem, z rozkazu jaśnie pana—usprawiedliwił się sługa.

— Dobrze, lecz naprzód posłuchaj, co ci kładę w uszy!... Jak znajdziesz tego Francuza, to go przywieź żywcem, czy umarłego. Słyszałeś, masz go przywieźć koniecznie, choćbyś miał związać albo w dyby okuć!...

— Zrozumiało się, jaśnie panie.

Tym razem nie zatrzymywany już wcale Kajetan wyszedł, a pan Cezary zaczął się zastanawiać nad wydanym rozkazem.

— Tak będzie najlepiej — mówił do siebie — niech tu przyjedzie i niech się tu wytłómaczy, czego chciał, co go ośmieliło wzywać mnie... Chociaż — dodał po chwili — może to jaki awanturnik, zawadyaka, pojedynkowicz... może być skandal, kłótnia i co mi po tem?... Ot, najlepiej byłoby...

Spojrzał na miejsce, w którem przed chwilą stał Kajetan—tłómacza telegramu już nie było. Pobiegł do okna, wyjrzał. Były żołnierz meksykański wsiadał już do zaprzężonego wózka.

Nim pan Horyński zdążył otworzyć okno i zawołać, Kajetan zaciął konia i odjechał.

Nie w smak to poszło panu Cezaremu, ale mimo, że szybkim był zwykle do decyzyi, gonić odjeżdżającego nie

kazał, lecz przyjął *fait accompli* z rezygnacyą mężów stanu na wielkiej arenie świata.

— Stało się—rzekł do siebie—zawsze ze mnie tak gorączka! Co pomyślę, to wykonywam zaraz, a potem z tego bywają ambarasy i kłopoty.

Pan Horyński miewał często o sobie to przekonanie, że jest w gorącej wodzie kąpany i że puls jego uderza najmniej sto pięćdziesiąt razy na minutę. Nic dziwnego, że tak sądził, skoro tak sądzili wszyscy, którzy go zobaczyli po raz pierwszy. Ale kto już rozpoczął ową beczkę soli, którą zjeść potrzeba, aby poznać człowieka, ten przychodził do innego zupełnie przekonania.

Niedługo się też martwił swem postępowaniem pan Cezary. Naturalnem następstwem jego usposobienia było, że zwykł był pocieszać się prędko.

— Ech! co ma być, niech będzie!—powiedział sobie na pociechę—ten musje Wandermoro może się obrazi, jeżeli Kajetan dosłownie spełni instrukcyę i gwałtem go tu przywiezie. Ale co tam! Bierz dyabli obieżyświata! Niech pozna Francuzina polskiego szlachcica... nie dam mu się przecież zjeść w kaszy!

Miejska Biblioteka Publiczna w Białymstoku

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr ..... KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

II.

Gdy tak pan Cezary Horyński zastanawiał się nad możebnemi następstwami swego gorączkowego rozporządzenia, do pokoju, w którym się znajdował, weszła a raczej wbiegła młodziutka, rozkoszna istota, na której widok każdy z czytelników musiałby powziąć wątpliwość, czy dziedzic Narajówki dobrze był poinformowany, gdy przypuszczał, iż w całym dworze, w nieobecności „bab", nikt oprócz Kajetana nie byłby w stanie zrozumieć i przetłómaczyć francuskiego telegramu.

Czyż podobna, żeby ta śliczna siedemnastoletnia panienka, ten blondwłosy aniołek z zarumienioną twarzyczką i pełnem uroczej pogody spojrzeniem, wbiegający z taką swobodą i poufałością do pokoju, w którym pan Horyński się znajdował, czyż podobna, żeby ta córka lub przynajmniej blizka kuzynka zamożnego właściciela pięknej wioski podolskiej miała odebrać tak zaniedbane wychowanie i nie mogła zrozumieć kilku wyrazów odbitych aparatem Hughuesa, a skreślonych w nadsekwańskiem narzeczu?...

Siedemnastoletnia panienka ani na chwilę nie pozostawiła nas w wątpliwości co do stosunku rodzinnego,

jaki ją łączył z panem Horyńskim, gdyż pierwszym wyrazem, który wyszedł z jej ust i srebrnym dźwiękiem w pokoju zadzwonił, było:

— Wujciu!

Pan Cezary zbyt był zajęty myślami, ażeby ten wyraz mógł słyszeć. Siostrzenica musiała zbliżyć się do niego i powtórzyć zawołanie, żeby zostać spostrzeżoną.

Wujcio spojrzał na nią zdziwiony.

— Jakto?... więc ty jesteś w domu, Bronisiu?— rzekł, jakby oczom swym nie wierząc.

— A jestem, proszę wujcia—odpowiedziała panienka.

— Więc nie pojechałaś z ciotką do Tarnopola?

— Chciałam jechać, ale mnie ciocia nie wzięła...

— No widzisz... gdybym był o tem wiedział, nie miałbym tyle kłopotu z telegramem.

— Z jakim telegramem, wujciu?

— A z francuskim od jakiegoś musje Wenternewe...

— *Monsieur Ventreneuf*...

— Tak, tak, tak właśnie... Aż Kajetana musiałem wołać na tłómacza. Ale już wiem, o co to szło...

— O cóż, wujciu?—spytała ciekawie panienka.

— Będziemy mieli wkrótce w Narajówce gościa.

Panna Bronisia aż podskoczyła z radości.

— Francuza?... paryżanina?.. Monsieur Ventreneuf? nieprawdaż, wujciu?—dopytywała się.

— Tak jest, w jego własnej osobie—potwierdził pan Cezary.

— A jak to dobrze! jak się cieszę, wujaszku!—klasnęła w ręce Bronisia.

Uściskała pana Horyńskiego i, zapomniawszy zupełnie o tem, z czem do niego przyszła, pobiegła ku drzwiom.

Pan Horyński nie odrazu pojął tę radość.

— Zaczekajże! gdzie biegniesz?—wołał za nią.

— Zmienić suknię i włosy przeczesać, wujciu!— odpowiedziała siostrzenica i znikła, nie zważając, że pan Horyński chciał jej jeszcze coś powiedzieć.

We drzwiach spotkała pokojówkę i zaraz jej zakomunikowała wielką nowinę.

— Wiesz, Zuziu?... będziemy mieli gościa, paryżanina!...

Pan Cezary popatrzył na nią przez chwilę z zadowoleniem.

— Iskra, prawdziwa iskra!—powtarzał w myśli.

Zuzia weszła do pokoju, w którym znajdował się dziedzic, zapewne także nie bez celu, ale ten cel jakoś nagle uleciał z jej pamięci. Szła dalej, jak gdyby przez ten pokój, pomimo obecności pana, prowadził trakt bity dla służby.

Co ją tak nagle zajęło, nietrudno się domyślić. Nie przysięglibyśmy, czy idąc nie powtarzała sobie w myśli:

— Paryżanin!... prosto z Paryża!...

Pan Cezary spostrzegł ją przechodzącą i zawołał na nią, chcąc jej dać jakieś polecenie, ale Zuzia nie zatrzymała się nawet, rzekła tylko:

— Przepraszam jaśnie pana, nie mogę się zbawić...

— Cóż tam masz tak pilnego?—zapytał dziedzic.

— Muszę się trochę przebrać i przygładzić włosy— odpowiedziała służąca, wychodząc szybko.

To już zgorszyło ostatecznie pana Cezarego.

— Takie to są kobiety!—myślał—wszystkie do siebie podobne kubek w kubek!... Lada fircyk paryski zawraca im w głowach, nawet na niewidziane! Nie pytają

czy młody czy stary, przyjeżdża z Paryża, to dosyć. Każda musi się wymizdrzyć, wyfiokować... To nie tak, jak my mężczyźni...

Machinalnie jakoś pan Cezary spojrzał po sobie i to zaraz tok inny nadało jego myślom.

— Prawdę mówiąc—rzekł do siebie—lepiejby może było, gdybym i ja coś świeższego włożył na siebie. Nie wypada to jakoś nie ubrać się przyzwoicie do gościa. Ten surdut na wsi może ujść, ale wobec człowieka, który tutaj przyjeżdża aż z Paryża... Ech!pfe, Francuz mógłby pomyśleć, że podolska szlachta tak samo pokazuje się w salonie, jak chodzi w polu. Już i tak źle się stało, żem po niego posłał wózek, zamiast powozu. Wyobrazi sobie Bóg wie co, że my wasągami lub drabiniastemi furami do kościoła jeździmy... Kiedym się tak niełądnie spisał, to przynajmniej przebrać się muszę.

Zadzwonił.

Mógł sobie dzwonić... Dom był zaalarmowany. Z jednej strony panna Bronisława, z drugiej Zuzia dały hasło do robienia różnych porządków na przyjęcie niezwykłego gościa, wszystko więc było w ruchu, wszystko na nogach i nikt nie miał czasu słuchać dzwonienia.

Przypadkowo dopiero, po kilkakrotnem szarpaniu dzwonkiem i po dosadnych narzekaniach pana Cezarego na to, że niema nikogo i że mu chyba zwaryować wypadnie, ukazał się we drzwiach kuchcik Jaś, chłopiec może osiemnastoletni, z miną zazwyczaj filuterną, która jednak czasami, w jednej chwili, jakby na zawołanie, stawała się tak głupowatą, że ani go podobna było o odrobinę inteligencyi posądzić.

Nie służbistość, ani chęć wyręczenia drugich sprowadziły na głos pańskiego dzwonka kuchcika Jasia, tylko prosta, zwyczajna, odziedziczona po matce Ewie i do wysokiego stopnia rozwinięta ciekawość, połączona ze „wścibstwem", wrodzoną wadą, za którą Jaś już niemało w młodem swem życiu naodbierał szturchańców.

Po zaalarmowaniu narajowieckiego dworu przez pannę Bronisławę i folwarku przez Zuzię, stał się nagle w kuchni gwałt wielki, którego przyczyny Jaś nie mógł pojąć. Spytał kucharza o co chodzi i został zbyty sto razy na dzień słyszanym a nigdy nie mogącym trafić do jego przekonania wyrazem „głupiś". Wyszedł z kuchni i zainterpelował o to samo jakąś kręcącą się kobietę, a ta, zmierzywszy go gniewnym wzrokiem od stóp do głowy, ujęła się pod boki i zawołała:

— A dasz ty mi raz pokój święty?

Tak chodząc od jednego do drugiego w ruchliwym i ludnym narajowieckim dworze, Jasiek dostał się aż pode drzwi pokoju, w którym pan Cezary z gniewem szarpał za dzwonek, a usłyszawszy dzwonienie, wszedł i dopomógł panu, który, jak się to najczęściej zdarza ludziom przywykłym do trzymania liczniejszej służby, najmniejszej rzeczy koło siebie zrobić bez obcej pomocy nie potrafił.

Cała armia czynna narajowieckiego pałacu została zatem zmobilizowana, na prostą wieść o przyjeździe niezwykłego gościa, a mobilizacya nastąpiła w mgnieniu oka, bez szczegółowych rozkazów z głównego sztabu i pod nieobecność naczelnego wodza, pani Horyńskiej, która, jak wiemy, znajdowała się w Tarnopolu, skąd miała przed wieczorem powrócić.

Tradycya gościnności w Narajówce i okolicach dotrwała dotąd w całej pełni, a tam, gdzie ta tradycyjna

cnota panuje, służba, gdy idzie o przyjęcie gościa, nie ma potrzeby czekać decyzyi państwa, która jest z góry przewidziana i zawsze wypada według przysłowia: „czem chata bogata, tem rada".

Niedługo też nadjechała osoba, którą pan Cezary tak bezceremonialnie do kategoryi „bab" zaliczył, a której my nadaliśmy przed chwilą tytuł naczelnego wodza armii czynnej narajowieckiej.

Obie te kwalifikacye i pana Cezarego i nasza nasunąć musiały czytelnikowi bardzo mylne o pani Horyńskiej wyobrażenie. Czy „baba" czy generalissimus wiejskiej dworskiej czeladki, to zawsze jakiś *hic mulier*, osoba, zbliżająca się do podeszłego wieku, surowa, hałaśliwa, szorstka, której się wszyscy boją i przed którą nawet wszechładny w swoim zakresie małżonek składa swe berło i zapomina języka.

Kto jednak w taki sposób wyobrażał sobie panią Horyńską, ten jest w najzupełniejszym błędzie.

Dziedziczka Narajówki niczem a niczem nie przypominała naszkicowanego powyżej typu kobiety, z której już życie starło najdelikatniejsze cechy kobiece. Na nazwanie jej wprost „babą" nie odważyłby się nikt, ani głośno, ani nawet w skrytości myśli, a pan Cezary, jeżeli w podsłuchanym przez nas monologu użył tego wyrażenia, uczynił to zbiorowo, mówiąc ogólnie o rodzaju niewieścim, a nie o swej małżonce w szczególności. Popobnież my, stawiając ją na stanowisku naczelnego wodza, nadaliśmy jej tylko stopień, który jej się z prawa należał, chociaż ten urząd pani Helena tylko formalnie i honorowo pełniła. Tak młodzi arcyksiążęta w Wiedniu jeszcze w kolebkach zostają porucznikami, kapitanami,

a nawet szefami pułków, chociaż sami jeszcze słuchać muszą nauczycielskiej komendy.

Pani Horyńska przedewszystkiem była młodą, zbyt młodą nawet, jak na małżonkę swego męża. On, jak wiemy, przeżył już pół stulecia, jej niktby zapewne nie posądził, że przekroczyła pierwszą ćwiartkę tego okresu, który ludzie nazwali wiekiem dlatego, że jest najdłuższego wieku człowieczego wymiarem.

Ta znaczna różnica lat życia pomiędzy dwojgiem małżonków stąd pochodziła, że pani Helena nie była pierwszą żoną pana Cezarego lecz drugą, i dopiero od lat kilku zajęła owo naczelne stanowisko w Narajówce, na którem ją zastajemy.

Jakkolwiek pan Cezary, żeniąc się powtórnie już dobrze po czterdziestce, motywował to sam przed sobą konieczną potrzebą pani, do kierowania działem gospodarstwa kobiecego w rozległym majątku, właściwą przecież kierowniczką tego działu pani Helena nigdy nie była. Rządy faktyczne spoczywały w ręku osoby małowidzialnej, gościom zupełnie nieznanej, nizkiej, otyłej, brzydkiej ale energicznej, sprężystej, czujnej i czynnej, panny Józefy Klatkowskiej, która je już od lat dwudziestu, za nowej i za nieboszczki pani, oraz w czasie wdowieństwa pana Cezarego, pełniła ku ogólnemu wszystkich zadowoleniu i bez wysuwania na pierwszy plan swojej krępej i niebardzo pięknej osoby.

Mając taką wyręczycielkę w zarządzie domu, młoda pani Horyńska mogła z łatwością nosić firmę gosposi, a nawet zdobyć sobie sławę znakomitej gospodyni. Nie zabierało jej to w takich warunkach wiele czasu i nie sprawiało zbyt uciążliwego trudu.

Wychodząc za wdowca, pani Helena nie przyjęła także na siebie ciężkiego obowiązku matkowania nieswoim dzieciom, z tych bowiem po pierwszem małżeństwie pana Cezarego nie dochowało się ani jedno. Stała się tylko legalną opiekunką i przewodniczką, a w rzeczywistości starszą towarzyszką znajomej nam ślicznej siostrzenicy swojej, Bronisi, panienki już obecnie zaliczonej do kategoryi dorosłych.

I ta opieka niezawodnie więcej przyjemności niż trudu przysparzała pięknej dziedziczce Narajówki.

Tak jest, „pięknej". Pani Helena była piękną bez zaprzeczenia; nie tak piękną, jak pełny kłos podolskiej pszenicy, ani jak wysmukły kwiat wiotkiej lilii, lecz jak coś pośredniego między tem dwojgiem...

Rozwinięta w miarę, klasyczna w kształtach, pełna wdzięku w ruchach, lekka, choć nie powiewna, delikatna chociaż silna i zdrowa, ciemna dosyć blondynka, o rysach twarzy, wytrzymujących wszelką krytykę, o spojrzeniu pełnem życia i blasku, o świeżym acz nie nadto barwnym rumieńcu, była typem piękności zupełnej i skończonej, jednej z tych, które, spojrzawszy w zwierciadło, powiedzieć mogą o sobie: „Takąbym chciała zostać zawsze".

I jakby zgodnie z tem życzeniem piękność tego rodzaju ma ten szczęśliwy przywilej, że pozostaje nieskażoną długo, jeżeli troski i zawody życia przedwczesnych zmarszczek na gładkiem czole nie wyorzą; jeżeli łzy, zbyt często wylewane, blasku oka nie zaćmią, albo choroba sił żywotnych nie strawi.

Tego wszystkiego pani Horyńska obawiać się nie miała powodu.

Od czasu zamążpójścia trosk i zawodów nie doznała żadnych, nie płakała podobno nigdy, a czyż może być mowa o chorobie wśród świeżego powietrza i bujnej zieleni, wśród wygód, dostatku i szczerego zadowolenia ze swego losu?...

III.

Pani Horyńska nie przyjechała sama.

Towarzyszyła jej interesująca bardzo osóbka, z którą wkrótce będziemy mieli sposobność zaznajomić się bliżej.

Była to również młoda, może nawet młodsza od pani Heleny, żywa i wesoła brunetka, o cerze cokolwiek śniadej, krojem twarzy, temperamentem i ruchami przypominająca trochę typ paryżanek, ubrana w suknie owych poważnych kolorów, którym zwyczaj nadał znaczenie półżałoby, a które stanowiły pewien kontrast z jej osobą, nie przedstawiającą bynajmniej owych cech charakterystycznych, jakiemi odróżniają się od reszty świata nieutulone w żalu wdówki.

Towarzyszka, przyjaciółka i koleżanka z pensyi pani Horyńskiej była właśnie nieutuloną w żalu wdową po ś. p. Tadeuszu Wandalskim, który, po dosyć długiem życiu i godnem piastowaniu posady notaryusza *vel* rejenta w Tarnopolu, połączył się z nią przed dwoma laty dozgonnym węzłem, a przed jedenastoma niespełna mie-

siącami pozostawił na świecie samą, z dość znacznym majątkiem swoim, który jej aktem notaryalno-testamentowym przekazał, oraz jej własnym, również dosyć sporym posagiem, który przez ciąg małżeńskiego pożycia nienaruszony jako depozyt przechowywał.

Pani Natalia była tedy jedną z owych przysłowiowych wdów o gotowym chlebie, które, według obserwacyi łowców posagowych, stają się coraz rzadszymi i trudniejszymi do upolowania okazami matrymonialnego zwierzyńca.

Przybywając do Narajówki, obie panie były już dokładnie i szczegółowo poinformowane o spodziewanem wkrótce pojawieniu się paryżanina, a nawet przed dojechaniem do dworu już po części ułożyły, co mają czynić z okazyi tak wyjątkowego wypadku.

Sprawczynią tej szybkiej informacyi była Bronisia, która przed przystąpieniem do przebrania się na przyjęcie gościa zaalarmowała, jak już wiemy, cały dwór, a potem skreśliła na prędce krótki bilecik i oddała go posłańcowi konnemu, którego panna Klatkowska natychmiast po otrzymaniu wiadomości o przyjeździe paryżanina uznała za potrzebne wyprawić do Tarnopola po jakiś nieodzowny sprawunek.

Posłaniec na koniu, szybszym daleko od Wasylowego podjezdka, puścił się w drogę, w odległości pół mili od dworu spotkał wracające powozem panie i oddał im pismo Bronisi.

Zawierało ono następujące słowa:

„Droga cioteczko! Śpieszę cię zawiadomić, że wujcio otrzymał telegram, iż pan de Ventreneuf, *vrai Parisien*

przybędzie do nas dzisiaj wieczorem i zapewne przez czas dłuższy zabawi. Nie miałam czasu spytać wujcia, co tutaj sprowadza tego młodego dystyngowanego człowieka, który podróżuje po naszym kraju dla przyjemności. Gdy odbierzesz tę kartkę, każ jechać co koń wyskoczy, żebyśmy miały czas na przygotowanie wszystkiego.

Toute à toi

Bronisia".

Nieodzowny przypisek zawierał tylko wyrazy: „Il est peut-etre baron ou comte, mais je n'en sais rien encore".

Skąd panna Bronisława wiedzieć mogła, że oczekiwany prawdziwy paryżanin ma prawo do szlacheckiego *de* przed nazwiskiem, że zabawi przez czas dłuższy, że jest człowiekiem młodym, dystyngowanym i że dla przyjemności odbywa podróż po naszym kraju?... Tego wszystkiego nie powiedział jej pan Cezary, w telegramie o tem mowy nie było. Były to wszystko domysły, które własna wyobraźnia podsunęła młodziutkiej a uroczej mieszkance narajowieckiego dworu—snadź na podolskiej ziemi wyobraźnie są równie bujne, jak pszenica—a panna Bronisława, sama o tem nie wiedząc, w pośpiechu podała te domysły tak, jak gdyby stanowiły treść telegramu i były co do autentyczności przez pana Cezarego poręczone.

— Będziemy miały gościa!... jak to wybornie!...— zawołała pani Horyńska, przeczytawszy—masz, Natalciu, przeczytaj.

Wdówka rzuciła okiem na pismo, rozpoczynając od przypisku.

— Może baron lub hrabia—powtarzała czytając—każ jechać co koń wyskoczy... *vrai Parisien*, monsieur de Ventreneuf... A no, to jedźmyż jak najprędzej!...

Wydano rozkaz, woźnica zachęcił konie do pośpiechu po swojemu, droga nie należała do najgorszych i wkrótce dwór narajowiecki zaczął się ukazywać w oddaleniu, z poza drzew ogrodowych, które widok jego w części zasłaniały jadącym.

— To szczęście, żem cię z sobą zabrała—mówiła pani Horyńska do swej towarzyszki—i dziękuję ci raz jeszcze, żeś się dała namówić... przynajmniej nasz gość paryski się nie znudzi...

Pani Natalia przybrała, jak na zawołanie, minę smutną, której nie miała przed chwilą.

— Och! nie licz na mnie tak bardzo—odrzekła—jestem jeszcze w żałobie, a wdowie, której życie złamane, niełatwo o wesołość...

— No, to ten nasz gość paryski przyczyni się do rozerwania cię, moja droga...—odpowiedziała pani Helena, nie przecząc smutkowi młodej wdówki, chociaż w jego autentyczność niezupełnie wierzyła.

— Piękną doprawdy przeznaczasz mu rolę—uśmiechnęła się pani Wandalska—pocieszyciela wdów strapionych... Gdyby tu przyjechał w zamiarze pełnienia uczynków miłosiernych, możeby mu to było do gustu, ale Bronisia pisze, że twój gość odbywa podróż dla przyjemności...

— To prawda—przyznała dziedziczka Narajówki—ale ty jesteś taka dobra, że mi w tem dopomożesz i nie będziesz bardzo trudną do pocieszenia... Oto wiesz co,

zaproponowałabym ci jedną rzecz. Ale daj mi naprzód słowo, że zrobisz.

— Dla ciebie moja droga, wszystko.

— Słowo?

— Słowo.

— A więc cię mam!... Zrzucisz żałobę na czas pobytu u nas.

Pani Natalia zasłoniła się rękami, jak gdyby chciała odepchnąć pokusę.

— Za nic w świecie! za nic w świecie!—zawołała—wszystko zrobię, co chcesz, tylko tego jednego, nawet dla ciebie, nie uczynię. Przed upływem roku i sześciu niedziel za nic w świecie!...

— Bo widzisz, Natalciu—perswadowała pani Horyńska—przyszło mi na myśl, że możnaby na intencyę tego pana de Ventreneuf urządzić jakąś większą zabawę. Ale znowu ty mi się znudzisz, jeżeli nie będziesz tańczyła.

— Tańczyć?... ja?... przed upływem roku i sześciu niedziel, za nic w świecie!...—zaprotestowała ponownie młoda wdówka.

Pani Helena, nie zważając na protestacyę, mówiła dalej:

— Więc przyszło mi na myśl, że mogłabyś zdjąć żałobę na te dni kilka.

— Za nic w świecie!

— A potem, po upływie roku i sześciu niedziel, odchodzić w żałobie te kilka dni dodatkowo.

Pani Natalii ten oryginalny projekt nie wydał się wcale niewykonalnym.

— Pod tym warunkiem—przyznała—możnaby może... Ale nie, nie... Nie wwódź mnie na pokuszenie... Mój

mąż nieboszczyk był dla mnie taki dobry... nie kochałam go, prawda... nikt też tego nie mógł wymagać i on sam nawet nie wymagał... różnica wieku była za wielka. Ale szanowałam go bardzo, jak cię kocham Helenko, i bardzo szanuję jego pamięć... Mogłabym potem o tych kilku dniach zapomnieć i nigdybym sobie tego nie przebaczyła...

— Ja ci przypomnę...—poddała pani Helena.

— Z pewnością?..—spojrzała na nią pytająco wdówka wzrokiem wilgotnawym, bo na wspomnienie zacnego nieboszczyka piękne jej oczy już łzą nabiegać zaczęły.

— Najniezawodniej, moja droga, sama bez miłosierdzia wyegzekwuję te kilka dni...

— Jeżeli tak, to zgoda... ale tylko pod tym warunkiem—przystała wreszcie młoda wdówka—daję ci słowo, że nie zrobiłabym tego dla nikogo w świecie, prócz ciebie.

— Ja też z góry wiedziałam, że dla mnie zrobisz— odrzekła, ściskając jej rękę, pani Horyńska—a teraz, skoro ta kwestya załatwiona, naradzimy się, kogo zaprosić i kiedy wydać tę zabawę.

— Kiedy?... rozumie się jak najprędzej, bo paryżanin może za dni kilka wyjedzie—zauważyła pani Natalia.

Pani Helena przyznała słuszność tej uwadze i nim powóz przebył niewielką odległość, dzielącą go jeszcze od Narajówki, lista zaproszonych została już przedyskutowana i jednomyślnie przez dwie przyjaciółki przyjęta.

Była obszerna. Na całym świecie, gdzie tylko zajrzała gościnność, a tembardziej u nas, gdzie ta cnota przebywa jeszcze jakby u siebie w domu, przyjętym to

jest obyczajem, że kto ma gościa niezwykłego, gościa, którego pragnie przyjąć z wyjątkową uprzejmością, to się nim pragnie podzielić z jak największą liczbą swoich przyjaciół, sąsiadów i znajomych.

A że spodziewany czas pobytu paryżanina był krótki, więc chwili do stracenia nie było.

Zabawa wyznaczona została za dni trzy. Ani pani Helenie, ani jej przyjaciółce nie przyszło nawet na myśl, że dystyngowanemu cudzoziemcowi interesy lub ułożony program podróży mogą nie pozwolić gościć w jednem miejscu tak długo. Liczyły na swą kobiecą potęgę, że go zatrzymają, dopóki zechcą, nawet bez uciekania się do nowych środków zbyt despotycznego nieraz przymusu, jakimi w dawniejszych czasach posługiwała się częstokroć staropolska gościnność.

Wskutek tego blizkiego terminu, nie można było zwlekać z niczem. Przedewszystkiem trzeba było zaproszenia napisać natychmiast, bo w nocy odchodziła poczta z Tarnopola, więc, w razie odłożenia do jutra, spóźniłyby się o dwadzieścia cztery godziny.

To też po przybyciu do Narajówki i bardzo krótkiej konferencyi pani domu z „Klatkosią", która ją uspokoiła, że wszystko będzie dobrze, dwie przyjaciółki, przyzwawszy na pomoc Bronisię, zabrały się zaraz do pisania inwitacyi, z któremi znowu posłaniec konny odjechał galopem do miasta.

W ogólnych tych przygotowaniach było bardzo prawdopodobnem, że, gdy gość paryski przyjedzie, nie będzie miał kto go przyjąć. Pan Cezary, ani żaden w domu mężczyzna—było bowiem we dworze mężczyzn dosyć na różnych stopniach hierarchii ekonomicznej i służebnej

—nie mógłby przyjąć na siebie tej roli dla nieumiejętności nadsekwańskiego narzecza, więc gdy pan Francuz przyjedzie, a panie jeszcze nie będą gotowe, z kimże się na początek rozmówi?

Tę niełatwą do rozwiązania kwestyę zadała sobie pokojówka Zuzia i z widocznem wewnętrznem zadowoleniem rozstrzygnęła ją w słowach:

— Ze mną!

Tak jest—trzeba nam zdradzić wielką tajemnicę—pokojówka Zuzia oddawna już, w sekrecie, uczyła się i nauczyła trochę po francusku.

Była to dziewczyna ambitna, pragnęła wznieść się wyżej nad swoją sferę i rozumiała, że nauka za narzędzie do tego jej posłuży.

Odebrała początkowe wychowanie, umiała czytać, pisać i rachować, obok wszystkich umiejętności, jakie do jej zawodu były potrzebne, ale zapragnęła rozszerzyć horyzont swej wiedzy i za najpilniejszy przedmiot naukowy uznała, rozumie się, francuszczyznę. Wszakże i państwo najdroższe skarby swoje, swoje dzieci, swą przyszłość, rozpoczynają kształcić od wyuczenia ich tego języka.

Zuzia domyślała się jednak, że, gdyby się przyznała do tego zamiaru, wystawiłaby się na śmieszność. Nie chcąc być ośmieszoną, postanowiła uczyć się potajemnie.

Utrudniało to zadanie niezmiernie, ale nie odstraszało energicznej dziewczyny.

Od czasu do czasu, usługując Bronisi, zapytywała jej, niby bezmyślnie, jak się ten lub ów przedmiot po francusku nazywa, i tym sposobem nabierała pojęcia o wymawianiu. Z jakiegoś elementarza francuskiego, na którym niegdyś Bronisia się kształciła, a który przypadkiem dochował się pomiędzy jej książkami, nauczyła się czytać. Potem, przy pomocy metod Ahna i Ollendorfa, i przy wytrwałości dziewczyny, wszystko szło już jak z płatka. Zuzia była zdolną rozmówić się po francusku od biedy, ale nie wydawała się z tem jeszcze. Zachowywała to sobie na jakąś uroczystą okazyę i ta okazya nadchodziła wreszcie...

Och! gdybyście wiedziały, piękne czytelniczki, jak tej dziewczynie, prostej służącej, na pozór do delikatniejszych uczuć niezdolnej, gwałtownie biło serce, z jakiem wzruszeniem przygotowywała się do pierwszego występu w tej od tak dawna przygotowywanej roli, z jaką uwagą i jakiem namaszczeniem konjugowała w pamięci słowa posiłkowe *avoir* i *être*, a potem przechodziła cztery konjugacye słów foremnych, poczynając od uprzywilejowanego *aimer*. Ładna Zuzia dobrą była dziewczyną, kochała swoje panie, służyła im chętnie, lecz nigdy do żadnej funkcyi swego zawodu nie przystępowała z takiem przejęciem się, z tak głębokiem przeświadczeniem o ważności swej misyi, jak do tej, która ją oczekiwała teraz—do wprowadzenia w dom paryżanina, przybywającego prosto z Paryża!...

Zuzia przygotowała sobie pewną starannie opracowaną introdukcyę do pierwszej rozmowy, jaką miała prowadzić z paryżaninem, i recytowała ją w myśli raz po raz, żeby w stanowczej chwili nie dostać tremy i nie zapomnieć języka, jak się to zdarza, na różnych scenach teatru i życia, wrażliwszym debiutantom i debiutantkom.

Tymczasem Kajetan jechał wózkiem do Borków Wielkich, drogą nie należącą do najlepszych, a przynaj-

mniej o wiele gorszą od tej, którą pani Horyńska z panią Wandalską powracały z Tarnopola.

W drodze rozmyślał jak się wywiązać z misyi, którą mu poruczył pan Cezary.

Kajetan, jak już wiemy, służył wojskowo w dwóch armiach. Obie te armie były Boże się zmiłuj: jedna zupełnie nieregularna, a druga niezupełnie uregulowana, w obydwu służba trwała krótko, ale obie miewały ciężkie przejścia, więc niezłą dla szeregowców stały się szkołą. Z dwóch tych armii sługa pana Cezarego wyszedł służbistą i człowiekiem, który, otrzymawszy rozkaz od zwierzchnika, nie zastanawia się nad tem, czy go wypełnić można, tylko myśli, w jaki sposób wydane polecenie da się wykonać najłatwiej i najwłaściwiej.

To też, gdy otrzymał polecenie przywieźć Francuza z Borków, ani mu na myśl nie przyszło spytać się, po czem go pozna i od reszty śmiertelnych odróżni. Kwestyę tę postawił sobie dopiero w drodze i nie zakłopotał się nią bardzo. Wiedział, że sprytem żołnierskim zawsze jakoś sobie da radę.

Gdy przybył na stacyę, pociągu lwowskiego jeszcze nie było, ale już wywieszono sygnały oznajmiające, że nadejdzie niezadługo.

— A no—pomyślał—nie spóźniło się, to już dobrze, Francuz nam się nie wymknie.

Po chwili przed stacyę zajechał jakiś powóz z sąsiedztwa, potem bryczka żydowska i parę wózków.

— Oho!—rozmawiał z sobą były żołnierz meksykański—widać, że dosyć luda przyjedzie tym pociągiem. Trzeba się mieć na baczności, żeby nam Francuzisko się nie wymknęło.

Zsiadł z wózka i udał się na dworzec.

Na kolejach austryackich, tak zresztą, jak wszędzie, nie wolno wychodzić na peron osobom, które nie mają biletu, zakaz ten jednak obejść łatwo w sposób dozwolony i dla przedsiębiorstwa kolejowego korzystny, kupując bilet do najbliższej stacyi.

Były żołnierz meksykański użył tego środka i po chwili znajdował się już na peronie.

Pociąg dnia tego wyjątkowo długi, licznie zapełniony, wjeżdżał już w obręb zabudowań stacyjnych.

Zaledwie stanął, nim jeszcze konduktorzy zdążyli zeskoczyć ze swych stanowisk i pójść otwierać drzwi wysiadającym, Kajetan wyprostował się po żołniersku, podniósł rękę do prawej skroni, jakby salutując, i potężnym głosem zaczął wołać:

— *Monsieur le Français! où êtes-vous?... on vous attend... où êtes-vous, monsieur le Français, ohe!...*

Tubalny głos byłego obrońcy meksykańskiego cesarstwa zwrócił uwagę wszystkich, z każdego okna wagonów pasażerskich wychyliło się po parę głów, krzyżowy ogień spojrzeń i śmiechów padał na niego, ale Kajetan nieraz w niebezpieczniejszych ogniach bywał i nie zraziło go to wcale.

— *Ohé, monsieur le Français!... où êtes-vous?...*—powtórzył jeszcze kilka razy.

Odpowiedzi nie było żadnej.

Kajetana nie zdetonowało to wcale, nie myślał jeszcze dawać za wygraną.

Jak tylko otworzyły się pierwsze drzwiczki i podróżni wysiadać zaczęli, były żołnierz meksykański cofnął się szybko i stanął przy wyjściu, gdzie oddawano bilety.

Rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniem Kajetana, przyjechało tego dnia do Borków Wielkich więcej, niż zwykle, bo aż kilkunastu pasażerów.

Każdy z nich musiał przejść koło meksykańskiego żołnierza i oddać bilet stojącemu przy drzwiach stacyjnemu słudze, a Kajetan każdego po kolei pytał:

— *C'est vous, monsieur le Français?... n'est-ce-pas?*

Wszyscy odpowiadali po polsku, nie rozumiejąc, lub przecząc, jeden tylko, prawie ostatni, odrzekł w języku, w którym był zagadnięty:

— *Mais non!*

Dla Kajetana to zaprzeczenie było dostatecznem potwierdzeniem.

— *C'est vous! on vous a reconnu!*—zawołał.

Pasażer, człowiek młody i elegancki, spojrzał na niego zdziwionemi oczyma, widocznie nie pojmując, skąd go poznano, że jest Francuzem.

— *Oui! oui! on vous a reconnu*—powtarzał Kajetan, przytrzymując nieznajomego, który patrzył nań ciągle, jak gdyby nie rozumiał zaczepki, i dopiero gdy sługa p. Cezarego zagroził mu, że go nie puści, gdyż musi go zawieźć do Narajówki, uśmiechnął się dziwnie i dał się zabrać w jasyr bohaterowi meksykańskiego cesarstwa.

Nie zapominając, o niczem Kajetan zapytał go, czy ma bagaże, odebrał je, ulokował na wózku, umieścił na nim następnie, jak mógł najwygodniej, wziętego do niewoli Francuza, poczem sam wsiadł na kozieł i, zwracając się do podróżnego, raz jeszcze dał mu w języku francuskim następującą admonicyę:

— Panie Francuz! tylko się pan nie bój... nic się złego panu nie zrobi... ale ani pan myśl uciekać, bo strzelanoby za panem...

Podróżny wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział na tę pogróżkę zaatlantyckiego wojaka, który groził strzelaniem, nie mając pod ręką żadnej innej broni, prócz bicza.

Wózek ruszył z miejsca i z szybkością, na jaką pozwalał nie arcydoskonały stan drogi, potoczył się ku Narajówce.

IV.

— „*Mais non*"—odpowiedział mniemany pan de Ventreneuf na zapytanie Kajetana, czy jest Francuzem, i czytelnicy, którzy lepiej od pana Cezarego wyrozumieli jego telegram, wiedzą już dawno, że ów gość paryski przybywał ze Lwowa i był siostrzeńcem dziedzica Narajówki.

Nie idzie jednak zatem, żeby domysły, jakie powstały w Narajówce, i oparta na nich legenda panny Bronisławy o młodym dystyngowanym cudzoziemcu, prawdziwym paryżaninie, który podróżuje po naszym kraju dla przyjemności, miała być zupełnie fałszywą.

Owszem było w tych domysłach tyle prawdy, ile jej w bajce szczęśliwie pomyślanej zmieścić się może.

Pan Franciszek Grzmicki, syn rodzonej siostry pana Cezarego, był naprawdę dosyć młodym i wcale dystyngowanym, jak się domyślała Bronisia, a w dodatku bardzo przystojnym.

Co większa, był naprawdę—paryżaninem, choć światło dzienne ujrzał w tej samej Narajówce, do której jechał teraz w charakterze jeńca, wziętego do niewoli przez meksykańskiego rycerza.

Matka jego wyszła za mąż za syna jednego z sąsiadów, Feliksa Grzmickiego z Maksymówki, i jak się zdawało, była przeznaczoną na to, ażeby życie spędzić w podolskiem zaciszu.

Zmienne losy jednakże zrządziły inaczej. Mąż pani Grzmickiej, po dwuletniem pożyciu, zamknął powieki, pozostawiając wdowę z jedynym synkiem, który podówczas był jednorocznem dzieckiem i dopiero po dwudziestu pięciu latach miał wyrość na bohatera naszej opowieści.

Czy pani Grzmicka przysięgała na grobie zmarłego małżonka, że dozgonną nosić po nim będzie żałobę, czy nie czyniła takich ślubów, o tem milczy małomówna historya, to tylko pewna, że gdyby była wobec jego cieniów przyjęła takie zobowiązanie, toby jej było bardzo trudno danego przyrzeczenia dotrzymać.

Była kobietą młodą, piękną, bogatą, obok przemijających zewnętrznych zalet, obok niepospolitych wdzięków, cała okolica unosiła się w wychwalaniu przymiotów jej serca, a niektórzy wspominali nawet o umyśle wyższym i niezwykłej jak na kobietę wiedzy. Nic dziwnego, że ją otoczył rój konkurentów, którzy nie chcieli nawet pozwolić na to, ażeby przed wstąpieniem w nowe związki odbyła termin tradycyjnej żałoby.

Ale pani Malwina Grzmicka uparła się i odżałowała męża tyle, ile się należało, a nawet drugie i trzecie tyle.

Przez cały czas ten czyniła wybór pomiędzy licznymi konkurentami do swojej ręki.

Jakim sposobem się stało, że żaden z podolaków, żaden z galicyan, żaden nawet ziomek z odleglejszych stron

kraju nie wyszedł zwycięsko z tej rywalizacyi, tylko cudzoziemiec, poznany przypadkowo w Ostendzie, było to już tajemnicą serca pani Malwiny. W bliższą analizę tej tajemnicy wchodzić nie mamy zamiaru ani prawa.

Dosyć, że po upływie półczwarta roku wdowieństwa, gdy jedyna pociecha mamy, nasz obecny bohater, miał już rok piąty, pani Grzmicka została nie hrabiną de Ventreneuf, jak sobie wyobrażała Bronisia, lecz baronową de la Foutelaie, małżonką obywatela Francyi, należącego do jednej z tych rodzin arystokratycznych francuskich, których tradycye sięgają daleko poza czasy pierwszego cesarstwa.

Pomimo bardzo znacznego majątku barona, pomimo świetnej jego pozycyi społecznej, pan Cezary Horyński bardzo się opierał temu związkowi. Nie zdawało mu się stosownem, aby jego siostra wychodziła za cudzoziemca i ażeby jej syn wychowywał się pod obcem niebem, zapominając o swej narodowości i pochodzeniu.

Pani Grzmicka złamała opór brata i rozbroiła go nawet przyrzeczeniem solennem, że chociaż dziecko weźmie z sobą do Francyi, nie wychowa go jednak na Francuza.

Wywiązała się z tego przyrzeczenia, jak mogła, jak umiała. Bohater nasz miał zawsze nauczycieli Polaków, ale żył i wzrastał w atmosferze paryskiej, kształcił się na literaturze nadsekwańskiej, wyrabiał smak na sztuce francuskiej i przeważnie obcą karmił się wiedzą, a tym sposobem wyrósł na paryżanina, obcego krajowi i jego tradycyom, zupełnie tak, jak tego chciała legenda wymarzona przez piękną Bronisię.

Pozostał jednak w tym egzotycznym paryżaninie magiczny jakiś węzeł, który go łączył z krajem. Pięć tyl-

ko lat niespełna, pięć lat pierwszych, których wspomnienia najłatwiej się zacierają, spędził nad ojczystym Seretem, a jednak ten krótki okres życia nie pozostał bez wpływu na niego i sympatycznym związkiem spajał go z oddaloną, zapomnianą, mgławo tylko rysującą mu się w pamięci ziemią rodzinną.

Nie przeczył on, że Paryż jest piękny, że Francya bogata i w wielu stronach urocza, ale przeczuwał, odgadywał, zdawało mu się nawet, że pamiętał, iż tam gdzieś na dalekiej Północy jest kraj mniej zasobny, mniej wysławiany, kraj niemający pretensyi do przodowania światu, a przecież ponętny, pociągający jakimś niedającym się określić, ani nazwać powabem...

Niech tylko nikt nie myśli, że nasz paryski Polak był sentymentalnym, długie chwile spędzającym na marzeniach o oddalonej ziemi, w której stała jego kolebka, trawionym przez tęsknotę do niej i pieszczącym się codziennie myślą, że ją kiedyś odwiedzi... Marzycielstwo było dalekiem od jego usposobienia. Wychował się w Paryżu, żył Paryżem, a jeżeli kiedyś, w dosyć znacznych odstępach czasu, wspominał o Polsce, bywało to najczęściej wówczas, gdy Paryż i Francya przesyciły go i zawiodły.

Był młody i przystojny, miał matkę bogatą i kochającą, bogatszego jeszcze, przyzwoitego po parysku, niezbyt surowego w zasadach moralności ojczyma, otwarte były dla niego towarzystwa najwykwintniejszej i zwykle najbardziej zepsutej młodzieży, od czasu, jak wyszedł z pod opieki nauczycieli, kroki jego i czyny nie podlegały żadnej ściślejszej kontroli, miał więc wszelką sposobność zepsuć się i byłby prawdziwym aniołem, gdyby się nie zepsuł choć trochę.

Szczęśliwe jednak usposobienie i jakaś zdrowa konstrukcya moralna, nie pozwoliły mu przesiąknąć zepsuciem do szpiku kości, jak by się to zapewne w jego położeniu stało z kim innym. Nadużycia i rozpasane szały budziły w nim wstręt i obrzydzenie. Wyrobiony wychowaniem smak kazał mu szukać pewnej estetycznej strony nawet w najprzelotniejszych związakach i stosunkach i to podobno było poręczą, która go zatrzymywała nad przepaścią, w jaką tylu młodych ludzi popycha zbyt wesołe i lekkie życie paryskie...

Wielokrotnie, jak już powiedzieliśmy, młody nasz bohater tworzył projekty podróży do Polski, na rodzinne Podole, ale zawsze jakoś te zamiary spełzły na niczem. W rzadkich listach do brata pani baronowa de la Foutalaie zapowiadała nawet parę razy przyjazd syna, lecz zawsze stawała na zawadzie jakaś przeszkoda.

Raz nawet nasz paryżanin wybrał się już w drogę do Narajówki i nie dojechał, lecz zabłądził aż na Helgoland.

Przyczyną tego była piękna twarzyczka, którą ujrzał w oknie wagonu, przeznaczonego dla dam, i która zainteresowała go tak, że zapomniał o planie podróży, jeździł od stacyi do stacyi z pociągu na pociąg za nieznajomą, aż nareszcie znalazł się na pokładzie parowca, który z Hamburga unosił ją do skalistej wyspy na morzu Niemieckiem, wsławionej kąpielami morskiemi.

Tu o zaznajomienie się było łatwo, a znajomość stała się wstępem do romansu, który się skończył razem z kąpielowym sezonem i trwalszych wspomnień po sobie nie zostawił, ale za to zwichnął zupełnie projekt odwiedzenia rodzinnej wioski na Podolu.

Od tego czasu paryżanin nie dowierzał już sobie i choć mu czasem przychodziła chęć wyjazdu nad Seret i chociaż sobie układał kiedy wyjedzie, nie mówił matce, żeby w liście do brata zapowiedziała jego przyjazd, gdyż przypuszczał zawsze, że coś mu nie pozwoli spełnić powziętego zamiaru.

Pocóż miał zresztą zapowiadać swą bytność i narażać nieznanych krewnych na niepotrzebny zawód? I od matki i od nauczycieli i z niewielu książek, które czytał o Polsce, wiedział o tem, iż gość niespodziewany równie tam jest miłym, jak oczekiwany i zaproszony.

Tym sposobem raz wreszcie wybrał się znowu w drogę i, nie spotkawszy w podróży żadnej przeszkody w rodzaju owej helgolandzkiej, przybył do Lwowa, skąd dopiero telegraficznie dał znać do Narajówki, że już znajduje się na miejscu.

Dlaczego jednak w Narajówce tak mylnie zrozumiano jego telegram, dlaczego wzięto go za Francuza, dlaczego zamiast powozu przysłano trzęsący wózek bez resorów, z woźnicą silącym się na francuszczyznę, dlaczego grożono mu kanonadą na przypadek ucieczki, dlaczego więziono go niejako pod przymusem osobistym, tego sobie na żaden sposób wytłómaczyć nie umiał...

Nie gniewało go to jednak, tylko bawiło. Zaszła widocznie jakaś mistyfikacya, jakieś nieporozumienie, które wróżyło uciesznią przygodę, a urozmaicało długą i dość męczącą podróż.

A nasz paryżanin lubił niespodzianki i przygody, czego między innemi owa awantura na Helgolandzie, nie pierwsza i nie ostatnia w jego życiu, była dowodem.

To też nie chcąc sobie psuć zabawy, rozciekawiony

co dalej będzie z tego dziwnego zajścia, nie zdradził przed Kajetanem swego incognito i nie wydał się wcale, że umie po polsku.

Zaczął z nim rozmowę, chcąc go pociągnąć za język i dowiedzieć się od niego słowa zagadki, ale to nie było tak łatwo.

Kajetan całą prawie swoją niezapomnianą jeszcze umiejętność języka francuskiego wysilił na wytłómaczenie panu Cezaremu telegramu, na wywołanie na stacyi spodziewanego Francuza i na upomnienie go, żeby nie próbował uciekać. Dalsza z nim rozmowa szła jak po grudzie, a przytem były żołnierz meksykański, chociażby nawet umiał z łatwością się wysłowić, był zanadto służbistym i dyskretnym, żeby się poważył wziętemu do niewoli jeńcowi wyjawiać bez pozwolenia zwierzchniej władzy, tajemnice swego obozu.

Ile razy zatem paryżanin zagadnął go o coś takiego, czego dokładnie zrozumieć nie mógł, albo też na co nie chciał ze względów dyplomatycznych odpowiedzieć, były żołnierz meksykański uspokajał go stereotypowym frazesem:

— *N'ayez pas peur, monsieur le Français!... votre affaire n'est pas grave... on ne vous fusillera pas!...*

Paryżanin wzruszał ramionami i śmiał się w duchu.

— Paradna figura z tego człowieka—mówił do siebie—ciągle sobie wyobraża, że się boję, pociesza mnie, żem niewiele przewinił, zapewnia, że mnie nie rozstrzelają, i wiezie mnie do rodzonego wuja, jak do pojmanego na uczynku szpiega do komendanta fortecy!...

Po niejakim czasie ukazała się w oddaleniu Narajówka.

Paryżaninowi serce silniej zabiło. Mgławe wspomnienia odżyły w nim... Okolica, w której od lat dwudziestu, jak ją opuścił, nic prawie się nie zmieniło, zaczęła się nagle stawać znajomą. Przypominał ją sobie z początku jak przez sen, potem coraz wyraźniej, aż w końcu był prawie pewny, że byłby poznał swoje gniazdo rodzinne, gdyby nawet nagle został w nie przeniesiony i nie miał przed sobą nikogo, ktoby go mógł upewnić, że się nie myli.

— To dziwne—szepnął do siebie—tyle pięknych, piękniejszych nawet miejsc widziałem, a jednak widok żadnego tak mnie nie przejął i nie wzruszył...

Uniósł się na wózku, położył rękę na ramieniu Kajetana i zapytał:

— *Ecoute, ami, c'est donc bien vrai Narajówka?...*

— *Oui, monsieur le Français... on ne vous y fusillera pas!*—odpowiedział z przekonaniem szeregowiec nieszczęśliwego cesarza Maksymiliana.

Wózek zajechał przed dwór, paryżanin zeskoczył i poszedł prosto do wnętrza, jak gdyby znał rozkład najdoskonalej.

Nikt naprzeciw niemu nie wyszedł, jak dobrze przewidziała Zuzia. Panie nie były jeszcze gotowe, pan był gotów, ale jakoś mu się nie zdawało właściwem wołać Kajetana na tłómacza rozmowy.

Zawołał pokojówki.

— Słyszałaś?—rzekł—ten Francuz już przyjechał... powiedz paniom.

— Mówiłam, proszę pana.

— No i cóż?

— Panie będą za chwilę gotowe.

— A przez ten czas?...

— Ja nie wiem, proszę pana, ale...

— Wyjdź ty i rozmów się z nim... na migi... wy kobiety do tegoście jedyne.

Nie trzeba było Zuzi powtarzać rozkazu. Wykręciła się i pobiegła.

— Czekaj!—zawołał za nią pan Cezary, swoim zwyczajem chcąc zmodyfikować rozkaz.

Nie zatrzymała się. Nie dlatego, żeby była nieposłuszną, lecz nie słyszała rozkazu. Serce jej biło gwałtownie, szumiało jej w uszach... wyuczona introdukcya do rozmowy snuła się w myśli poplątanym szykiem. Uroczysta chwila nadeszła... dano znak... miała się ukazać na scenie w wielkiej swej roli.

Zrezygnowała się i weszła, wbiegła prawie.

Spojrzała na młodego gościa i oblała się ponsem.

— *Monsieur le comte...*—zaczęła, mnąc w ręku koniec fartuszka.

Pulsu jej zabrakło... dalszy ciąg introdukcyi, tak doskonale przed chwilą umianej, uleciał bezpowrotnie z pamięci.

— *Monsieur le comte...*—powtórzyła, spuszczając oczy.

Paryżanin patrzył na nią i na jej pomieszanie zdziwiony.

— *Maintenant je commence à ne rien comprendre*, teraz zaczynam nic nie rozumieć—rzekł do siebie w duchu.

I rzeczywiście, jeżeli dotąd rozumiał mało, to od tej chwili pojmował jeszcze mniej. Brano go za Francuza, za hrabiego, witano go z pomieszaniem, a sprowadzono go przemocą, mniej więcej jak opryszka ujętego na drodze,

wózkiem, którym się nie wozi dystyngowańszych gości, i pod groźbą zastrzelenia w razie ucieczki.

Dziwiło go to niezmiernie, ale zanadto był paryżaninem, aby go to mogło zmieszać.

Zuzia spodobała mu się.

— Ładna subretka—pomyślał—trzeba ją trochę ośmielić...

Zbliżył się do niej, pogłaskał ją po twarzy i zapytał w języku francuskim:

— Skądże wiesz, figlarko, że jestem hrabią?...

Środek, użyty dla ośmielenia, okazał się skutecznym. Zuzia podniosła oczy i odzyskała swą francuszczyznę.

— O! ja wiem, ja wiem wszystko, panie hrabio— odrzekła—panienka mówiła i pan mówił...

— Żem ja hrabia?...

— Tak, panie hrabio, pan hrabia de Ventreneuf...,

— Ha! ha!—roześmiał się paryżanin—więc wiesz nawet moje nazwisko?...

— Wiem, panie hrabio.

Paryżanin zamyślił się przez chwilę.

— Co w tem jest? — mówił do siebie — mistyfikacya jakaś, czy też zbieg okoliczności szczególny?... Może w istocie czekają na jakiego hrabiego Francuza, a może...

Postanowił dalej badać subretkę.

— Słuchajże, moja piękna... jak ci na imię?...

— Zuzanna, do usług pana hrabiego...

— Zuzanna! — zawołał paryżanin wesoło — piękne

imię!... Gotów jestem, nadobna Zuziu, bronić cię w każdej chwili przeciwko dwom biblijnym starcom...

Zuzia niezbyt dokładnie zrozumiała te słowa, czuła jednak, że w nich był rodzaj komplementu, rzuciła więc odpowiedź z góry przygotowaną na przypadek, gdyby jej paryżanin jaką grzeczność powiedział.

— *Ces messieurs de Paris sont bien polis, monsieur le comte!*

— Tak, tak, gotów jestem cię bronić przeciw tym niegodziwym, osiwiałym, rozpustnym, fałszywym oskarżycielom—mówił dalej mniemany hrabia—ale za to, skoro wiesz wszystko, powiedzże mi jeszcze jedno...

— Co pan hrabia rozkaże?...

— Powiedz mi, dlaczego, wiedząc, że jestem hrabią de Ventreneuf, przywieziono mnie tu przemocą, jak jeńca wojennego, grożąc zastrzeleniem, gdybym uciekał?...

Usłyszawszy te słowa, Zuzia aż załamała ręce z przerażenia.

— Jakto?—zawołała—obrażono pana hrabiego w taki sposób?... Idę zaraz donieść panu... Kajetan będzie ukarany...

Chciała odbiedz, paryżanin zatrzymał ją za rękę.

— Nie, nie, nie pójdziesz—rzekł—nie chcę, żeby Kajetana karano...

— Ale skoro pana hrabiego obraził...

— Ty mi wynagrodzisz obrazę!..

— Jakim sposobem?..

— Buziakiem!..

Jednocześnie z tą odpowiedzią mniemany hrabia pochwycił dziewczynę wpół i pocałował.

Zuzia szarpnęła się, trochę urażona, a trochę rada. Z twarzy, zdrowym oblanej rumieńcem, mało jej krew nie wytrysła.

— *Mais vous y allez trop vite, monsieur le comte*—zawołała, i wydostawszy się z rąk młodego człowieka, znikła z pokoju.

Paryżanin przez chwilę patrzył na nią z zadowoleniem.

— Śliczna dziewczyna—rzekł do siebie — jak pełny kłos tej podolskiej pszenicy, której ogromne łany widziałem po drodze. Miałem rozum, żem tu przyjechał. Choćby nikogo więcej nie było tylko Zuzia, jestem pewny, że się doskonale ubawię w domu wujaszka.

Po tej uwadze, która już nam trochę maluje naszego bohatera, nasunęła mu się myśl poważniejsza.

— Wszystko to dobrze—rozmawiał dalej z sobą— ale zachodzi pytanie, co począć z tą całą mistyfikacyą?... Czy mam zatrzymać maskę hrabiego de Ventreneuf, którą mi przemocą włożono, czy zrzucić ją i wystąpić, jako Franciszek Grzmicki?.. Czy być siostrzeńcem czy człowiekiem obcym, krajowcem czy cudzoziemcem?... Z wyjątkiem buziaka pięknej Zuzi, dałbym wszystko, co zechce, temu, ktoby mi powiedział, jak mam postąpić?...

Zaczął się przechadzać po pokoju, namyślając się co uczynić, ale nie mógł się zdecydować na jedno. Nęciła go awantura i tajemnicze incognito, z drugiej strony jednak nie miał chęci obrażać wujostwa mistyfikacyą.

— Tak źle i tak niedobrze — zakonkludował — ha!

co tam długo medytować... Zdam się na instynkt, który mnie nigdy nie zawodzi... To tylko jedno dotychczas jest pewne, że ta Zuzia śliczna dziewczyna!...

W trakcie takich rozmyślań paryżanina, otworzyły się drzwi i do salonu weszły pani Horyńska z panią Wandalską.

V.

Na salonowca paryskiego przyszła teraz kolej oniemieć.

Nie był on bardzo wymagającym, jak o tem mieliśmy już sposobność się przekonać. Jedna Zuzia—sam to wyznał przed sobą—byłaby mu wystarczyła dla uprzyjemnienia krótkiego pobytu w domu wujostwa, w którym widocznie nie spodziewał się zastać więcej piękności i to stojących nieskończenie wyżej ponad kategoryą subretek.

Tymczasem nagle ujrzał przed sobą dwie damy, których widok go olśnił. Obie były piękne niepospolicie, chociaż zupełnie niepodobne do siebie.

Pani Wandalska, przypominająca typ paryżanek, zajęła go przedewszystkiem i przykuła jego uwagę silniej, niż pani Horyńska, której piękność w pierwszej chwili musiała być trochę niezrozumiałą dla przywykłego do innej charakterystyki kobiet wychowańca nadsekwańskiej stolicy.

Na panią Natalię zatem zwrócił przeważnie swoje obserwacye i nim po wymianie ukłonów przyszło do rozpo-

częcia rozmowy, już zauważył, iż, gdyby była prawdziwą paryżanką, możeby trochę inakszych barw dobrała do swego stroju. Nie przyszło mu na myśl, że pani Wandalska była jeszcze w owej półżałobie, którą już zobowiązała się zrzucić na jego intencyę.

Stosownie do charakteru gospodyni, pani Horyńska pierwsza zaczęła rozmowę.

— Tak rzadkiem to jest zjawiskiem—rzekła naturalnie po francusku—żeby cudzoziemcy, ziomkowie pańscy, podróżujący dla przyjemności, nasze strony obierali za cel podróży, iż zaraz przy powitaniu muszę panu wyrazić wdzięczność, żeś do naszego kraju skierował drogę i nie pominął naszego domu.

— A ja—odpowiedział gość bez zastanawiania się i namysłu—teraz dopiero przekonywam się, jaki mną kierował instynkt szczęśliwy...

Słowa te przywykłemu do banalnych frazesów salonowej konwersacyi paryżaninowi wyszły z ust prawie bezwiednie. Nie myślał o nich, nie miał na to czasu. W odezwaniu się pani Horyńskiej miał dowód, że legenda o cudzoziemskim hrabi, który dla przyjemności podróżuje po Polsce, przyjęła się nietylko pomiędzy woźnicami i subretkami, lecz grasuje również w salonie. Dwie piękne panie, które doń wyszły, żeby go powitać, były oczywiście, tak samo, jak Kajetan i Zuzia, przeświadczone, iż mają przed sobą francuskiego hrabiego, którego żaden węzeł prócz ciekawości z naszym krajem nie łączy. Nasz paryżanin nie mógł sobie wytłómaczyć, jakim sposobem ta plotka się rozpowszechniła i tak bezwarunkową w całej Narajówce znalazła wiarę.

Gdyby był gość paryski państwa Horyńskich mógł widzieć przesuwającą mu się przed oczyma całą genezę tej wieści, tak, jak my ją widzieliśmy, byłby przyszedł do przekonania, że plotki i pogłoski fałszywe nie są zazwyczaj dziełem jednego autora, lecz wynikiem licznej kollaboracyi częstokroć nie wiedzących wzajem o sobie współpracowników, którzy z prostej czyjejś omyłki, z jakiegoś nieporozumienia lub mimowolnego złudzenia, dodając ze swej fantazyi szczegół po szczególe, tworzą całość, której pochodzenia i szybkiego rozwoju zrozumieć później niepodobna.

W tym wypadku na powstanie pogłoski o hrabi Ventreneuf wpłynął przedewszystkiem ten, co sobie nad jej wytłómaczeniem najbardziej teraz łamał głowę, a mianowicie Franciszek Grzmicki. Gdyby był zatelegrafował po polsku, całej tej mistyfikacyi nie byłoby niezawodnie. Intelektualnym sprawcą fałszywej pogłoski o sobie był zatem sam nasz paryżanin, chociaż zdziwiłby się niezawodnie niezmiernie, gdyby mu to za pomocą dokumentów i świadków udowodniono, tak dalece w krótkim przebiegu z ust do ust, przez niewinne dodatki i upiększenia, rzecz pierwotna do niepoznania się zmieniła.

Rozpoczęcie rozmowy przez panią Horyńską wskazało gościowi paryskiemu, że ona jest gospodynią domu, i to stało się dla niego nowym do zdziwienia powodem.

Wiedział o tem, że starszy brat jego matki, pan Cezary, musiał być człowiekiem dobrze podstarzałym, a chociaż także nie było mu obce, iż pan Horyński po utracie pierwszej małżonki wstąpił w drugie związki, nie posądzał go jednak wcale o tak młodą i o tak piękną drugą żonę. Podtatusiali wdowcy zwykle są mniej wymagającymi i —

według teoryi francuskiej — jeżeli dbają o własny spokój, wybierać zwykli na drugie małżonki osoby trochę poważniejsze wiekiem i mniej czarujące wdziękami. Jeżeli pan Cezary nie uczynił tego, to, zdaniem naszego paryżanina, popełnił błąd niedarowany.

— *Oh! mon oncle, que je te plains!...* Och! jakże mi cię żal, wujaszku mój—powtarzał w myśli od czasu do czasu siostrzeniec pana Cezarego, ilekroć kontemplacya powabów pani Wandalskiej nie przeszkadzała mu spojrzeć na panią Horyńską.

I zawsze w takich razach z ciekawością rzucał okiem na drzwi, jak gdyby był pewnym, że z poza osłaniającej je portyery ukaże się lada chwila owa w komedyi i w romansie francuskim niezbędna, a i w życiu nadsekwańskiego społeczeństwa dosyć powszechna postać—młodego, przystojnego przyjaciela domu.

Przenikliwość zawodziła go jednak. Portyera pozostawała nieporuszoną i konieczny w jego pojęciu uzupełniacz małżeńskiego stadła nie ukazywał się wcale.

— Nic to nie szkodzi—pomyślał nasz paryżanin—jestem pewny, że go poznam do jutra, pojutrze zostaniemy przyjaciółmi, a w dwa dni później zwierzy się przede mną...

Rozpoczęta rozmowa toczyła się gładko i w taki sposób, że nasz paryżanin, chociażby nawet chciał, nie byłby w możności wtrącić do niej sprostowania błędnych wieści, jakie się o nim na całej przestrzeni od Borków Wielkich aż do Narajówki rozniosły. Obie panie rozmawiały z nim tak, jak gdyby im na tem zależało, ażeby utrzymać rozmowę w sferze najdalszej od wszelkich osobistych wyjaśnień.

Nie czyniły one tego bynajmniej przez jakąś gadatliwość parafiańską, która, schwyciwszy gościa, nie pozwalała mu przyjść do słowa. Owszem, byłyby rade dowiedzieć się o nim od niego samego coś więcej, ale jakoś nie wypadało badać go o to, o czem zapewne wiedział dokładnie pan Cezary, jak się tego z kartki pisanej przez Bronisię domyślać należało. A na zobaczenie się z mężem pani Horyńska, zajęta zmianą tualety i rozpisywaniem zaproszeń, nie miała czasu.

— Obawiamy się jednak—wtrąciła się do rozmowy pani Wandalska—żeby pan, przywykły do wielkiego miasta, wychowany w stolicy świata, nie zanudził się w naszem ustroniu.

— Gdybym nawet miał tę obawę—odpowiedział prawdziwie po parysku gość—od chwili ujrzenia pań byłbym z niej wyleczony. Tak jest... w tej chwili z całą szczerością oddaję cichej wiosce pierwszeństwo nad gwarną i wrzawliwą stolicą...

— Grzeczność tak panu mówić każe, lecz niełatwo byłoby wskazać tę wyższość—zauważyła młoda wdówka.

—Owszem, pani—zaprotestował paryżanin—jako wychowaniec stolicy Francyi, nie przeczę, że i miasto ma swoje powaby, ale piękności miasta są dla wszystkich, dla tłumu, a powaby wsi dla niewielu wybranych... Miasto porównałbym ze sprzedajną heterą, która swe wdzięki każdemu, kto zapłaci, odsłania, wioskę z piękną, szanującą swą godność kobietą, która tylko wybrańców swego serca obdarza w tajemnicy pieszczotą...

Dwie panie spojrzały po sobie.

Twarz pani Horyńskiej oblał żywy rumieniec, pani Wandalska zarumieniła się zlekka.

Obie spuściły oczy, jakby pomieszane cokolwiek.

Paryżanin nie mógł sobie zdać sprawy z tego wrażenia swoich słów. Wychowany zdala od kraju, nie mógł pojąć, że na parafii podolskiej nie mają codziennego kursu frazesy o heterach, odsłaniających każdemu swe powaby, i o kobietach „szanujących swą godność", które tajemniczemi pieszczotami obdarzają swoich „wybrańców" w liczbie mnogiej. Ażeby przełknąć te dwa porównania, które w Paryżu nie obudziłyby najwyszukańszej drażliwości kobiecej, pani Helena i Natalia musiały sobie przypomnieć, że ich gość przybył prosto z nad Sekwany i że w książkach francuskich, których czytały wiele, z podobnemi zdaniami spotkać się można na każdej karcie...

Zabrakło im jednakże odpowiedzi. Nie mogły mieć za złe paryżaninowi, że posługuje się w rozmowie takiemi obrazami i figurami retorycznemi, jakich używają najprzyzwoitsi nawet i najwykwintniejsi Francuzi, ale trafić w ton tej rozmowy trudno im było.

Pani Horyńska rzuciła okiem na portyerę, jak gdyby z poza niej oczekiwała posiłków.

Spojrzenie to nie uszło baczności na wszystko zwracającego uwagę paryżanina.

— Oho! pomyślał — usłyszała go już... za chwilę i ja zobaczę próbkę gustu mojej wujenki.

Mylił się przecież. Portyera nie poruszyła się i teraz jeszcze.

Pani Helena miała jednakże słuch, który jej nie zawodził. Poza portyerą był ktoś, kto zbliżył się do niej i następnie cofnął.

Ktosiem tym nie był jednak ten „trzeci", na którego ukazanie się oczekiwał paryżanin, ale ów „drugi", który w teoryi małżeństw francuskich, jak widzimy na scenie

i na kartach romansów, zostaje zwykle za nawiasem.

Za portyerą był pan Cezary, który swoim zwyczajem szybko się zdecydował wyjść do Francuza i również po swojemu, zmieniwszy nagle postanowienie, wrócił ode drzwi, gdy z salonu ucha jego dobiegły dźwięki rozmowy, prowadzonej po francusku.

— Nie pójdę—rzekł do siebie—niech się z nim pierwej baby rozgadają i niech się dowiem, o co chodzi.

Dlaczego pan Cezary szedł do salonu, dlaczego wracał, dlaczego się wahał, winniśmy w kilku słowach wyjaśnić.

Po rozmowie z paryżaninem Zuzia, mimo wyraźnej jego opozycyi, nie mogła wytrzymać, ażeby się przed kim nie zwierzyć—nie z pocałunkiem, którym zaraz na wstępie obdarzył ją francuski hrabia, ale z przygody, jaka mu się zdarzyła, a o której dowiedziała się od niego.

Pobiegła zatem do panny Bronisławy i opowiedziała jej pod największym sekretem, że Kajetan w drodze omało nie zastrzelił tego pana hrabiego z Francyi.

Na bujnej niwie podolskiej wszystko rośnie szybko, a więc i wieści.

Panna Bronisława załamała ręce z przerażenia i zgrozy. Nie pojmowała, jak do takiej okropności dojść mogło, i uznała za konieczne bezzwłocznie zawiadomić pana Cezarego o tym wypadku.

Pan Horyński ukończył już tualetę i właśnie w chwili, gdy weszła do jego pokoju, nie wiedział co z sobą robić.

Bronisia z potrzebną ostrożnością, żeby Kajetana za bardzo nie narażać, opowiedziała mu, co zaszło.

Pan Cezary zerwał się z miejsca, jak oparzony.

— Co? chciał strzelać?—zawołał w największym gniewie—gdzie on jest? jak śmiał? ja go nauczę?..

— Tylko, wujeczku drogi, bez gorączki...—perswadowała panienka—niech się wujcio nie unosi... on może jest niewinny... trzeba go wybadać łagodnie...

— Masz słuszność—zmienił zdanie pan Horyński—trzeba go wybadać łagodnie... Niech tutaj przyjdzie.

Sprowadzono byłego żołnierza meksykańskiego i dziedzic Narajówki, starając się nie okazywać żadnego gniewu, wziął go na konfesaty.

— Gadajże, jak to było w Borkach Wielkich z tym Francuzem?...

— A no tak, proszę jaśnie pana... Pyta się go: „czy to pan ten pan Francuz?", a on odpowiada: „nie".

— Jakto?... odpowiedział, że nie?...

— To się rozumie, że nie... Ale nie z jednego pieca się chleb jadło, i nie tacy jak Kajetan dadzą się wyprowadzić w pole. Poznało się zaraz, że panicz kręci, więc mówi się do niego: „Aha nie! żeby się nie było Francuzem, toby się nie umiało po francusku!" Wsadziło się Francuza na wózek i powiedziało mu się, żeby siedział, jak trusia, bo... kulka w łeb!...

Pan Cezary już chciał wybuchnąć, panna Bronisława powstrzymała go gestem.

Z trudnością pohamował swą pasyę.

— Oszalałeś, człowieku! — zawołał, miarkując głos, o ile mógł—któż ci kazał robić podobne gwałty?

— Jaśnie pan sam powiedział: związ! w dyby okuj!...

— To ciemięga... i on to brał dosłownie!—chwycił się za głowę pan Horyński.—Więc ty, trutniu, byłbyś strzelał do niego?...

— Strzelałoby się, jaśnie panie, wedle rozkazu, tylko nie było z czego...

— To jeszcze szczęście—odetchnął pan Cezary—idź mi precz z moich oczu i nie pokazuj mi się, pókim zły...

Kajetanowi żadnej komendy nie było trzeba powtarzać dwa razy, a tej tembardziej.

Zawrócił się i wyszedł, dziwiąc się w duchu, że za ścisłe wykonanie rozkazu taka go spotkała burza.

— Cóż teraz począć—rzekł pan Horyński, po jego odejściu do Bronisi—ten człowiek mi widocznie przywiózł kogo innego, zamiast zapowiedzianego telegramem Francuza, i jeszcze mnie na proces o gwałt publiczny narazić gotów... Co począć, Bronisiu, ty mi poradź, bo głowę tracę...

— Rada najprostsza, proszę wujcia—odpowiedziała panna Bronisława—iść, wytłómaczyć mu pomyłkę... jeżeli trzeba będzie, przeprosić...

— Wszystko to dobrze... iść... ale po jakiemu będę z nim gadał?

— Po polsku... Skoro powiada, że nie Francuz, to naturalnie musi być Polak...—zauważyła piękna Bronisia—zresztą, jeśli się Zuzia z nim rozmówiła... Niech wujcio idzie, a ja tymczasem pójdę do kuchni i każę podawać kolacyę.

— Dobrze, moje dziecko, już pójdę...—przyznał słuszność siostrzenicy pan Cezary—masz racyę, najlepiej będzie, gdy się wszystko wyjaśni.

Poszedł, usłyszał przez drzwi francuszczyznę i cofnął się, jak już wiemy.

Teraz i on zaczynał nic nie rozumieć, tak, jak gość paryski przed chwilą.

— Francuz i nie Francuz, umie po polsku a po francusku z nim gadają, gwałtem przywieziony a dobrowolnie siedzi, obrażony a gniewać się ani myśli—kombinował

w głowie i rozważał zafrasowany dziedzic Narajówki— pomimo głupstw, których narobił ten niedołęga Kajetan, wszystko z nim dotychczas idzie gładko, a ja, jeżeli się w to wmieszam, wszystko popsuję... Co tu począć?...

Chodził i wracał, postanawiał i cofał postanowienia. Tak prawie bezwiednie oddalał się od salonu, a zbliżał się do swojego pokoju.

Gdy się poczuł w blizkości tego zakątka, wstąpiła weń nagła energia, jak w oddział wojska, wracający z nieudanej wycieczki do bezpiecznej fortecy.

Przyśpieszył kroku, wszedł szybko i zaraz zabrał się do zrzucania odzieży, którą przy pomocy kuchcika Jasia przywdział na przyjęcie paryżanina.

— Tak będzie najlepiej—mówił do siebie, zdejmując sztuka po sztuce—tak będzie doskonale!.. Powinniśmy się czasami od kobiet uczyć dyplomacyi!...

Włożył szlafrok z perskiej tkaniny i obwiązał sobie głowę wielkim fularem, fulary bowiem na dalekich parafiach mają kurs jeszcze dzisiaj, tak jak ongi za czasów ś. p. tabaki.

Wreszcie, po takiej zmianie tualety, usiadł w fotelu przy biurku i zaczął bębnić palcami prawej ręki po pokrywającem je zielonem suknie.

— Tak będzie najlepiej—powtarzał od czasu do czasu—dyplomacya kobieca zawsze górą!...

Wkrótce potem dano mu znać, że wieczerza na stole.

— Nie pójdę—odpowiedział—mam... migrenę!...

Służący już odchodził, pan Cezary zawołał za nim

— Tylko mi tu każ przynieść, bom straszni głodny!

Wieczerza zatem odbyła się bez gospodarza i *incognito* paryskiego gościa odkryć się podczas niej nie mogło.

Do stołu, jak to zwykle bywa na wsi, zasiadło jeszcze kilka osób z wyższej dworskiej hierarchii, które, nie umiejąc poprawnie albo wcale po francusku, nie brały udziału w rozmowie i nie zwracały z początku uwagi paryżanina.

Niespodziewanem dla niego i nader interesującem zjawiskiem, ujrzanem dopiero przy wieczerzy, była panna Bronisława.

— Jedna jeszcze!—rzekł do siebie, gdy ją zobaczył— ale to raj prawdziwy ta Narajówka!... Jeżeli w każdym polskim domu jest taki dobór piękności, to tu żyć i nie umierać w tej mojej ziemi rodzinnej.

Po bliższej trochę obserwacyi zmodyfikował nieco swoje zdanie o Bronisi.

— *Elle est un peu gauche, ma cousine*—szepnął w myśli — ale gdy się zakocha, to to przejdzie!...

„*Un peu gauche*"—tłómaczy się to po polsku „trochę niezgrabna", ale przekład taki niedobrze myśl oryginału oddaje. Pojęcie niezgrabności jest ściśle określone, a pojęcie gaucherie bardzo rozległe. Niezgrabną po polsku nigdyby nasz paryżanin nie nazwał panny Bronisławy, lecz miał prawo nazwać ją *gauche*, bo nie była taką, jaką być była powinna i jaką zwykle bywała. Coś ją mieszało. Paryżanin nie mógł wiedzieć, co to było — my wiemy.

Piękna Bronisia była pomieszaną, bo i ona także nie rozumiała sytuacyi, chociaż o niej cokolwiek więcej wie-

działa, niż jej ciotka i pani Natalia. Jej także snuły się po głowie takie prawie wątpliwości, jak i panu Cezaremu. Ten paryżanin, ten francuski hrabia był dla niej potrosze podejrzanej autentyczności hrabią i podrobionym paryżaninem. Mówiąc stylem kobiecym, „gryzło ją to" w skrytości bardzo, iż sama się w znacznej części przyczyniła do pomnożenia zawikłań, które tak ogmatwały jego postać, że jej w prawdziwem świetle niepodobna było dojrzeć. To pomieszanie było pierwszym powodem, że panna Bronisława była *gauche*.

Ale był jeszcze powód drugi i naszem zdaniem daleko ważniejszy.

Ce faux comte, ce parisien-postiche, ten młody człowiek, o którym niewiadomo było kim był, wydał się pannie Bronisławie tak pięknym, tak sympatycznym, jak nigdy jeszcze dotąd żaden mężczyzna. Wszystkim śmiało dotychczas patrzyła w oczy, a jego wzroku nawet przez moment nie była w stanie wytrzymać. Nie słyszała nigdy o tem, żeby jej na kogoś w towarzystwie patrzeć nie było wolno, a przecież na niego wstydziła się spojrzeć, jakby to było kodeksem przyzwoitego znalezienia się zabronione. Doznawała jakiegoś nieznanego aż dotąd niepokoju, traciła swobodę, rumieniła się, gdy czuła, że jest wzrokiem jego objęta...

Wszystko to razem musiało się wydać paryżaninowi *un peu gauche*. W Paryżu już podlotki nie mają tej parafialnej, zaściankowej *gaucherie* i od pierwszego pokazania się ludziom są skończonemi kobietami.

„Koszta konwersacyi", jak się wyrażają Francuzi, ponosiły dwie starsze panie, gospodyni domu i jej przyja-

ciółka, młoda wdówka. Bronisia odpowiadała tylko na zapytania, i to w jak najkrótszych słowach, zawsze półgłosem. A jednak dotąd mówiła zawsze śmiało i może nawet czasem więcej, niż było trzeba. Nagle więc zapomniała mówić. Uśmiech jej, dawniej szczery i serdeczny, zredukował się do konwencyonalnego, oficyalnego, nic nie wyrażającego ćwierćuśmieszku — zapomniała się śmiać. Ruchy jej straciły zaokrąglenie i pewność, jak gdyby zesztywniały, zimną etykietą zmrożone...

To były jedyne objawy owej „niezgrabności", którą jej zarzucił gość z Paryża.

Po drugiem dopiero daniu, paryżanin rzucił na chwilę okiem na galeryę, zajmującą drugą połowę stołu i w milczeniu spożywającą dary boże.

Nie było tam żadnej postaci, któraby dłużej jego wzrok zatrzymała. Oficyaliści wioski podolskiej, chociażby tak intratnej, tak wielkiej i tak dobrze zagospodarowanej, jak Narajówka z przyległościami, nie mogli być przedmiotem ponętnym do studyów dla paryżanina. Gdyby przynajmniej mówili, toby się jakoś wyraźniej nakreśliła ich charakterystyka, ale milczeli jak ryby i może właśnie dlatego, że im nie przeszkadzała rozmowa, z podwójną energią spełniali funkcyę jedzenia.

Widząc, jak wszystko szybko znikało z ich talerzy, paryżanin zrobił w myśli uwagę, że ziemia podolska jest krainą zdumiewających, godnych zazdrości apetytów...

Była to jedyna obserwacya, do jakiej materyału dostarczył mu szary koniec narajowieckiego stołu.

Dopiero pod koniec wieczerzy, po wiejsku obfitej,

ale z miejskim wykwintem podanej, w czasie której paryżanin okazał się prawdziwym paryżaninem, bo umiał coś dowcipnego a pochlebnego dla gospodyni powiedzieć o każdem daniu, zdarzyła mu się sposobność zwrócenia uwagi na jedną z tych figur drugorzędnych, które, jak się zdawało, służyły tylko za pretekst do położenia większej liczby nakryć na stole.

Było to w chwili, gdy pani Wandalska zawiązała z mniemanym hrabią de Ventreneuf rozmowę trochę obszerniejszą i bardziej poruszony przedmiot wyczerpującą.

Jak gdyby korzystając z tego chwilowego zajęcia się żywszą pogadanką dwóch głównych osób siedzących przy stole, pani Horyńska wstała i przystąpiła do jednego z krzeseł szarego końca i coś szepnęła do ucha siedzącemu na niem mężczyźnie.

Zagadnięty odpowiedział również zcicha. Żadne echo tego szeptu nie dobiegło do ucha paryżanina, ale sam fakt nie uszedł jego bystrego oka.

Gdy pani domu powróciła na swoje miejsce, bohater nasz wziął pod bliższą obserwacyę zaszczyconego jej rozmową domownika i teraz dopiero zauważył, że był to człowiek młody jeszcze, najwyżej trzydziestoletni, wcale przystojny, elegancyą i swobodą ruchów przewyższający całą kolekcyę swoich sąsiadów z szarego końca, słowem niepozbawiony pewnej dystynkcyi i posiadający dosyć warunków podobania się kobietom.

— Ach!—rzekł do siebie, zrobiwszy to spostrzeżenie— byłżeby to ten?...

Pytanie jego pozostało bez odpowiedzi tym razem, gdyż po wieczerzy towarzystwo zaraz się rozeszło i hrabiego de Ventreneuf odprowadzono do przeznaczonego dlań pokoju, ażeby mógł swobodnie wypocząć po odbytej podróży.

VI.

Skończywszy wieczerzę, przy której i jemu służył ów podolski apetyt, budzący podziw paryżanina, i wypocząwszy należycie, pan Cezary zadzwonił.

Na progu pokoju ukazał się Kajetan, przekonany widocznie, że gniew dziedzica już przeminął.

— No, cóż tam Francuz? — zapytał dziedzic Narajówki.

— A cóż, jaśnie panie?... po kolacyi położyło się go spać—wzruszył ramionami były żołnierz meksykański.

Panu Cezaremu migrena jakoś odeszła.

Zrzucił fular z głowy i wstał, spoglądając po sobie, jak gdyby się chciał przebierać.

— A pani Wandalska?—spytał po chwili.

— Także, proszę jaśnie pana, już w swoim pokoju...

— Ale panie nie śpią jeszcze?

— Nie, proszę jaśnie pana.

— Tem lepiej... możesz odejść—pójdę do nich...

Kajetan zadowolony, że burza, która nad nim zawisła, już przeminęła, nie śpieszył się z wyjściem, gdyż w kil-

koletniej służbie przywykł do tego, że pan Horyński nigdy odrazu służącemu wyjść nie dał, mając go zawsze na wychodnem o coś jeszcze zapytać.

Pan Cezary spojrzał na niego.

— Czegoż stoisz?...—zawołał—mówię ci idź... Tylko słuchaj-no... powiedz mi jeszcze, czy ten Francuz mówi po polsku?

Kajetan szeroko rozwarł oczy i machnął ręką lekceważąco.

—Ech! gdzie tam, proszę jaśnie pana, taki Francuz!... Było się w Paryżu kawał czasu, a nie widziało się Francuzów, coby po polsku rozmówić się umieli.

— A po jakiemuż u dyabła rozmawiała z nim Zuzia?...

— Zuzia?... to już chyba po babsku, ślepiami—odpowiedział po chwilowym namyśle Kajetan—kobieciska to wszędzie tak umieją, proszę jaśnie pana, i w Hołomuńcu, i we Francyi, i w Meksyku i tutaj na Podolu.

— Więc i tyś się nauczył rozmawiać oczami za granicą?

— Jak było trzeba, jaśnie panie, to się gadało i z Meksykanką i z Francuzką... — przyznał się wojak zaatlantycki i na wspomnienie swoich przygód romantycznych, zapominając o regulaminowej żołnierskiej postawie, wąsa pokręcił.

— A z mężczyzną dogadałbyś się tak na oczy?...

— Ech! z mężczyzną, proszę jaśnie pana, to tak nie idzie... do tego trzeba mieć babski spryt.

Śmiejąc się ciągle z odpowiedzi wiarusa, pan Horyński wyszedł ze swego pokoju, prawdziwie po wiejsku i po domowemu, w pantoflach i perskim szlafroku.

Przeszedłszy na drugą stronę dworu, po chwili otworzył drzwi do salonu, w którym jeszcze gospodarowały pani Helena z Bronisią.

— A to dobrze, żeś przyszedł—zawołała pani Horyńska, spostrzegłszy go wchodzącego—teraz się wszystkiego dowiemy.

— Właśnie, właśnie—potwierdził pan Cezary—teraz się dowiemy. Powiedzcież mi nareszcie, co to jest za jeden ten Francuz?...

Ciotka i siostrzenica spojrzały na męża i wuja, nie rozumiejąc.

— Jakto? więc ty nas o to pytasz?—zagadnęła wreszcie pani Horyńska.

— A kogoż u licha mam się spytać?... Kajetanowi się nie przedstawiał, ale wyście przecież z nim rozmawiały?...

— Mój mężu, ty już chyba żartujesz—zmarszczyła brwi pani Helena—czyż podobna, żebyś ty nie wiedział, kto to jest?...

— Moje dziecko, zmiłuj się, skąd ja mam wiedzieć?—perswadował łagodnie pan Cezary—podpisał się na telegramie Vandermore czy Vanderdore i na tem koniec!.. Jak cię kocham, duszko, tak nie wiem więcej nic!...

— A to piękne!... nawet nazwiska jego nie wiemy...—zafrasowała się pani Horyńska—Vandermoore... to chyba jakiś Flamand albo Holender.

— Vandermoore czy Vanderkalafiore, tego napewno nie wiem, ale nie Flamand ani Holender tylko Francuz—zaprotestował pan Cezary z przekonaniem—podpisał się wyraźnie *Francojs*, Francuz!...

— *Francojs?*—powtórzyła niedowierzająco pani Helena—gdzież jest ten telegram?...

— Gdzie ma być?... podarłem go ze złości na kawałki!...—rzucał się pan Cezary—skąd mu przyszło do głowy pisać po francusku, pędziwiatrowi!...

Pięknej Bronisi żal się trochę zrobiło nazwanego pędziwiatrem paryżanina.

— Jakże miał pisać, proszę wujcia, jeżeli po polsku nie umie? — zauważyła nieśmiało — zresztą możeby się gdzie szczątki tego telegramu znalazły?...

Pan Cezary uderzył się w czoło.

— A prawda!—zawołał uradowany—że też to zawsze najmłodsze pisklę musi starych uczyć rozumu.

Bronisia była faworytą wujaszka, który każdy jej pomysł znajdował zawsze trafnym, praktycznym i nieporównanym.

Zaczęto śledztwo. Zawezwany Kajetan medytował trochę i kręcił głową, ale nareszcie przypomniał sobie, gdzie podział strzępki podartej przez pana Cezarego depeszy.

— I wynajdziesz je?—zapytał dziedzic.

— Znajdzie się choćby pod ziemią, kiedy jasny pan każe—odpowiedział były wojak.

Poszedł i po kilku minutach wrócił, niosąc garść drobnych papierowych świstków.

Panna Bronisława z panią Horyńską zabrały się do ich składania.

Praca to była dość mozolna, bo pan Cezary, kiedy co robił w gniewie, to zwykł był robić dokumentnie,—jeżeli darł, to darł na sieczkę, więc trudno było dopasować pojedyńcze kawałki tak, żeby przystawały jeden do drugiego.

Ale kobiety, jeżeli się nie niecierpliwią, to są aniołami cierpliwości.

Pan Cezary miotał się, zżymał, na miejscu ustać nie mógł i co chwila popędzał je słowami: „Cóż u licha, kiedyż tam będzie?" a one, nic nie odpowiadając, rozwiązywały pracowicie swą łamigłówkę.

Nareszcie pani Horyńska wybuchnęła gwałtownym śmiechem.

— No co? no co? gadajże, moje dziecko... czego się śmiejesz?...—nalegał na nią pan Cezary.

Pani Helena nie była w stanie śmiechu przytłumić.

— To okropność!... nie dogadam się z wami... ty mi, Bronisiu, powiedz... jeżeliście się nie sprzysięgły obie, żebym tu na miejscu oszalał—rzucał się pan Horyński.

— To proszę wujcia...—chciała objaśnić panna Bronisława, ale i ją nagle porwał śmiech taki, że musiała usta chusteczką zasłonić i słowa więcej wymówić nie mogła.

— Świętej cierpliwości potrzeba z wami! świętej cierpliwości, doprawdy—dąsał się szlachcic, mitygując sam siebie.

Nakoniec pani Horyńska odzyskała panowanie nad sobą.

— A to zabawne nieporozumienie!—rzekła, z trudnością wymawiając wyrazy—tu przecież wyraźnie napisane „*votre neveu, François*".

— No tak, czyż nie mówiłem?... Wotrenewe, Francuz...

— Ależ to znaczy „twój siostrzeniec, Franciszek".— wyjaśniła nareszcie panna Bronisława, bo pani Horyńska, dotknięta nowym atakiem śmiechu, mówić jeszcze nie mogła—Kajetan mylnie wujciowi wytłómaczył.

Panu Cezaremu nagle wszystko się w głowie rozjaśniło, ale tylko na chwilę, bo po chwili znowu nic nie rozumiał.

— Mój siostrzeniec... Franciszek?—powtórzył niedowierzająco.

— Tak jest wyraźnie napisane, proszę wujcia.

— Franciszek Grzmicki?...

— Naturalnie... wszak nie masz innego siostrzeńca Franciszka—zauważyła pani Horyńska.

— Rozumie się, że nie mam... ale w każdym razie to nie on.

— Jakto nie on, zmiłuj się, mój Cezary!—wzruszyła ramionami pani Horyńska—napisane przecież wyraźnie.

— A ja mówię, że nie on—upierał się przy swojem dziedzic Narajówki—on mógł telegrafować, ale Kajetan złapał w Borkach i przywiózł tu przemocą kogo innego... jakiegoś prawdziwego Francuza.

— Skądże tak wnosisz, mężu?

— Bo nie umie po polsku ani *be* ani *me*, a Franek Grzmicki przecież do mnie corocznie pisze polskie listy na imieniny!

Racja zdawała się tak silną, że pani Helena nie wiedziała co na nią odpowiedzieć.

Innego przecież zdania była Bronisia. Przypominały się jej teraz wszystkie domysły i wątpliwości, jakie snuła w głowie poprzednio.

— A jeżeli on umie po polsku?—zagadnęła.

— Jakto umie?... gdyby umiał, toby gadał... powiedziałby po prostu: „jestem waszym siostrzeńcem" i zacząłby nas ściskać, zaczynając naturalnie od ciebie.

Bronisia pokraśniała silniej, niż kiedykolwiek przy podobnych żartach wujaszka.

— To prawda, że powinien był tak zrobić, i jeżeli to

on, to niegrzecznie się znalazł, bawiąc się w jakąś mistyfikacyę—zarzuciła pani Helena.

Z mimowiedną odwagą Bronisia wystąpiła w obronie paryżanina.

— Cóż on biedny miał robić, droga ciociu?—rzekła—Kajetan w niego wmawiał, że jest Francuzem, myśmy jak z Francuzem rozmawiały... przy obcej osobie, przy pani Wandalskiej, nie sądził może stosownem wyprowadzać nas z błędu... Ale że mówi po polsku, to niezawodne. Rozmawiał przecież z Zuzią...

— Tak—roześmiał się pan Cezary—Kajetan mówi, że rozmawiała z nim ślepiami, jak to wy wszystkie potraficie.

— Mój mężu...,—uraziła się pani Helena.

— No, no, nie gniewaj się, aniołku...

— W każdym razie nic łatwiejszego jak spytać Zuzi—zauważyła Bronisia.

Wyprawiono Kajetana po Zuzię, ale wkrótce powrócił z wieścią, że jej w całym dworze znaleźć nie można.

— Wielka rzecz—wziął na energię pan Cezary—ja się zaraz dowiem o wszystkiem.

— Tylko niech wujcio, aby czego gwałtownego nie zrobi—przestraszyła się Bronisia.

— Ech! nie! nie!... pójdę tylko do niego i powiem prosto z mostu: „Panie Francuz, jeżeliś mój siostrzeniec Franek, to dlaczego się z nami bawisz w ciuciubabkę?..."

— Ale może on już śpi...—zauważyła pani Helena.

— Jeżeli śpi, to się przewróci na drugi bok, gdy mi odpowie na to, o co go zapytam.

Panie nie miały nic przeciw takiemu postanowieniu dziedzica Narajówki. Nie przyznałyby się do tego za nic

w świecie, ale paliła je ciekawość dowiedzenia się prawdy, tak dalece, że gotowe były narazić męża i wuja na awanturę, w razie gdyby się okazało, że gość naprawdę jest jakimś nieznajomym, gwałtem przywiezionym Francuzem.

Pan Cezary poszedł.

Nim się dostał na piętro do gościnnych pokoi, parę razy zmienił postanowienie i decydował się na coś innego, ostatecznie jednakże powrócił do pierwszej myśli.

Przystąpił do drzwi i zapukał, raz słabo, drugi raz mocniej, a trzeci raz mocniej jeszcze.

Odpowiedzi żadnej nie było.

— A to śpi!—rzekł do siebie.

I grzmotnął silnie pięścią we drzwi.

Środek ten także nie okazał się skutecznym.

Wewnątrz pokoju gościnnego panowało głuche milczenie.

— Chyba wyszedł i drzwi pozostawił otwarte—pomyślał pan Cezary.

Poruszył klamkę, drzwi się nie otworzyły.

— Zamknięte z wewnątrz na zasuwkę, a zatem jest. Ale co się z nim dzieje?... Nie pojmuję takiego twardego snu.

Zaczął kołatać, z początku słabo, potem silniej, wreszcie tak silnie, że klamka została w jego ręku.

— Do pioruna z taką robotą!... Omdlał chyba...

Odsadził się o krok, potem przyskoczył szybko do drzwi i pchnął je silnie.

Zasuwka odskoczyła, drzwi się otworzyły na oścież.

W pokoju gościnnym lampa paliła się na stole. Łóżko było niepomięte, rzeczy gościa wszystkie w porządku, na stoliku leżał nawet zegarek i kapelusz paryżanina.

Tylko jego nie było ani śladu. Znikł, jak kamfora.

— Co u licha? Myślał, że zbójcy się dobijają, i skrył się za piec lub pod łóżko?—rozmawiał z sobą pan Cezary.

Zajrzał w oba te miejsca, ale napróżno.

— Okno otwarte—zauważył po chwili—ale przecie z pierwszego piętra nie wyskoczył... Co się z nim stać mogło?...

Odpowiedzi na to zapytanie nie było.

VII.

Paryżanin, odprowadzony przez Kajetana do przeznaczonego dla siebie pokoju gościnnego na piętrze, odprawił zaraz meksykańskiego żołnierza, z którym rozmawiać nie miał wielkiej ochoty, i pozostał „sam z swoją samotnością", jak powiada Alfred de Musset.

Spojrzał na łóżko, następnie na zegarek.

Była godzina kwadrans na jedenastą.

— No—rzekł do siebie—spotkało mnie dziś dosyć oryginalnych przygód. Zostałem nieznajomym samemu sobie hrabią de Ventreneuf, byłem wzięty do niewoli i zagrożony rozstrzelaniem, ale ze wszystkich awantur ta jest niezawodnie najoryginalniejsza, że ledwo dziesiąta wieczór wybiła, znajduję się wobec łóżka, które mnie ma utulić aż do rana.

Rzeczywiście sen był dalekim od jego powiek.

Bohater nasz w nadto krótkim czasie odbył podróż z Paryża i odbywał ją zbyt wygodnie, żeby mógł zaraz odwyknąć od zwyczajów nadsekwańskich, a nawet bardzo uczuwać ową potrzebę wypoczynku po podróży, któ-

rą w niego wmawiano. Paryskie życie nie wyczerpało w nim jeszcze owych zasobów młodości, których obficiej może niż innym udzieliła mu przyroda, owej dziarskości wrodzonej i energii żywotnej, którą zwykliśmy płocho trwonić na drodze życia, dopóki nas czas nie przekona, że i w tem, tak jak we wszystkiem, marnotrawstwa żałować trzeba później. najczęściej wówczas, gdy już to, co się zmarnowało, straconem jest bezpowrotnie.

Naturalnie, że paryżaninowi naszemu nie było pilno zastosować się do narajowieckiego obyczaju i co prędzej snem pokrzepiającym zakończyć pełną niezwykłych przygód dobę.

Zaczął się niby rozbierać, zdjął z siebie zegarek i położył go na stoliku, powyjmował z kieszeni różne drobnostki, bez których niepodobna obyć się w drodze, i poukładał je także dosyć systematycznie, ale na tem się skończyło.

Usiadł w krześle poręczowem i zamyślił się, a przedmiotem jego zadumy były narajowieckie panie: wdówka po rejencie z Tarnopola, pani Horyńska i Bronisia.

Przepadał za wdówką, był w niej zakochany do szaleństwa, prawdziwie po parysku, to jest zaraz na poczekaniu, w połączeniu z nadzwyczajną potrzebą zwierzenia się z tą miłością przed jakimś przyjacielem, zaufanym, znajomym lub choćby nawet... współzawodnikiem.

Na nieszczęście mówić o niej nie było komu, więc paryżanin rozmawiał sam z sobą, mieszając polskie frazesy z francuskiemi formułami, używanemi w powieści o pisarskich rysopisach.

Podobało mu się w niej wszystko, postać, rysy twarzy, spojrzenie, uśmiech, ruchy, a przedewszystkiem owo coś,

czego opisać ani nazwać nie umiał, *ce petit air indéfinissable*, ten jakiś nie dający się określić wdzięk, który go oczarował najbardziej.

Biedny paryżanin! Dużo czytał o miłości i wiele jej praktykował w życiu, a nie wiedział, że owo coś niepojętego, czy je nazwiemy *petit air*, czy inaczej, posiada każda kobieta dla tego, kto ją pokocha, co znaczy, że ów cudowny przymiot nie jest właściwie jej przymiotem, tylko warunkiem, albo wynikiem zakochania. I tu, jak wszędzie w naturze, piękna barwa przedmiotu nie jest jego nieodłącznym atrybutem, tylko oczu, które nań patrzą.

Nie rozwijajmy jednak dalej tego kacerskiego na kochanie poglądu, gdyż mogłoby to być dla losów powieści naszej niebezpieczne, tylko powróćmy do naszego paryżanina i zapisujmy przedmiotowo jego myśli i wrażenia.

Gdyby w Narajówce na wzór Paryża była jaka restauracya lub kawiarnia, w którejby się wieczorem zbierała elegancka młodzież, nasz paryżanin pośpieszyłby tam niezawodnie, nie dlatego, żeby czuł potrzebę poprawienia wieczerzy, jaką mu podano, lecz jedynie po to, żeby tam zastać kogoś, z którym mógłby się wygodnie o pani Wandalskiej nagadać.

Łatwo zapalna miłość paryska jest nadzwyczaj, że się tak wyrazimy, ekspansywną, to jest lubiącą się manifestować na zewnątrz. Wiadomo również, iż owa miłość bywa także niekiedy bardzo „ekspensywną", to jest gotową oddać wszystko dla ukochanej. Francuz — a przedewszystkiem paryżanin—prędzej zrujnuje się głupio i bezmyślnie do ostatniego grosza dla tej, którą sobie upodobał, niżby się miał wstrzymać od wyjawienia najskrytszych tajem-

nic tej miłości przed jednym choćby tylko powiernikiem. Kochać bez rozmawiania o kochankach, tak jak jeść bez rozprawiania o potrawach, paryżanie nie umieją wcale.

Gdyby nasz bohater znalazł był takiego powiernika, przedmiotu do rozmowy o pani Wandalskiej wystarczyłoby mu niezawodnie na bardzo długo, ale że był sam i myślał tylko o niej, więc przedmiot wyczerpał się prędko i myśl jego z kolei zwróciła się do innych mieszkanek Narajówki, a przedewszystkiem do pani Heleny.

— *Ma petite tante c'est une énigme*—mówił do siebie—moja wujeneczka to zagadka, którą będę się starał prędko rozwiązać, jeżeli już nie rozwiązałem. Ten jegomość, z którym na uboczu szeptała, daje mi wiele do myślenia. Nie zawiera się bezkarnie powtórnych związków z osobą znacznie młodszą od siebie, mój wujaszku. Żal mi cię bardzo, ale to już taki twój los... ten ,,trzeci'' musi być, inaczej stadło wasze byłoby niezupełne, a moja wujeneczka byłaby anomalią rodzaju kobiecego, o co anibym się poważył jej posądzać. Tak, tak, wujaszku!... Zresztą, gdybym się mylił, gdyby tego trzeciego jeszcze nie było, to najgorzej byłoby dla ciebie i dla mnie, mój wujaszku... bo wtedy ja musiałbym się zakochać w małżonce mego rodzonego wuja i pracować nad tem, ażeby... chociaż to się najzupełniej sprzeciwia moim zasadom!...

W tych słowach nasz paryżanin odsłonił się nam zupełnie.

Razem z puchem świeżości młodzieńczej, wychowanie nadsekwańskie starło z niego wiarę w kobiety.

Sądził o tej płci, którą poezya zowie piękną i słabą, z nieubłaganą surowością i z najwyższem pobłażaniem zarazem.

Był surowym dla kobiet, bo w ich cnotę wcale nie wierzył, i był dla nich pobłażliwym bez granic, bo im upadków wcale nie miał za złe.

Taka się już jakaś w Paryżu wyrobiła teorya i nasz bohater stał się jej znawcą bezwzględnym. Nie miał nawet tej zasługi, żeby ją sobie osobiście i oryginalnie pod wpływem przygód życiowych wyrobił,—znalazł ją gotową w książkach, a życie dostarczyło mu tylko kilku, może kilkunastu przykładów, dość błahych niezawodnie w ogólnem znaczeniu, ale potwierdzających doktryny przez teoryę ową głoszone. To mu wystarczyło—przyjął te doktryny bezwzględnie. Potępił wszystkie kobiety ryczałtem i ułaskawił je natychmiast jednym aktem zwierzchniczej łaski — przywrócił im swą miłość, a odjął tylko pewne szczególne prawo do... szacunku. Każda kobieta już dlatego, że jej losy kazały przyjść na świat kobietą, była u niego podejrzana o wszelkie płochości płci swej właściwe; w najniewinniejszem nawet dziewczątku, w takiej Bronisi, dopatrywał się przewrotności, nie objawiającej się wprawdzie jeszcze w postępowaniu, ale istniejącej *in potentia*.

Tak jest, i w Bronisi, bo i na nią, jak wiemy, padło oko zwracającego na wszystko uwagę paryżanina i ona także uzyskała przed jego znawczym i nieomylnym sądem patent na piękność i ona także, pomimo pani Wandalskiej i cioci Heleny—zajęła go na seryo.

Wszechstronne i obszerne było, jak widzimy, serce paryżanina, znalazło się w niem miejsce nawet dla—Zuzi.

I niech łaskawe czytelniczki nie sądzą, żeby Zuzia była jedną z owych istot poziomych, niezdolnych zająć i przywiązać do siebie nawet wybredniejszego w sprawach romansowych konesera.

Poznaliśmy ją nawet już z tego, że była to dziewczyna zdolna do niepospolitych czynów. Do takiego heroizmu, jak nauczenie się języka obcego w tajemnicy, mało która z kobiet byłaby zdolną, nawet dla wybranego i w widomych kształtach stojącego przed nią wybrańca, a Zuzia uczyniła to dla nieznajomego, dla przeczuwanego ideału, który się nagle i niespodziewanie w osobie hrabiego de Ventreneuf przed nią ucieleśnił.

Tak jest. Niechaj nam wolno będzie zajrzeć także do tajemnic jej serca i opowiedzieć, co w nich wyczytamy.

Paryżanin spodobał się niepospolitej subretce, którą los umieścił na wsi, we dworze narajowieckim, a godna była figurować jako konfidentka i pokojowa towarzyszka jakiej wytwornej damy wielkomiejskiej. Hrabia de Ventreneuf stał się jej drogim przez to, że na nim po raz pierwszy wypróbowała swoją francuszczyznę. W jej pojęciu gość paryski był uosobieniem owych bohaterów romansowych, jakich nigdy nie spotykała w życiu, ale o których czytała kilka razy w książkach, branych ukradkiem z buduaru pani Horyńskiej.

Rozmowa z nim stała się przedmiotem, który jej myśl ciągle zaprzątał, a pocałunek jego palił jej twarz ogniem, nie powiemy że nieprzyjemnym lub bolesnym.

Zuzia pragnęła być samą, pragnęła chwilę spędzić na rozmyślaniu o nim i sądząc, że nie będzie w domu potrzebną, po oddaniu wieczornych usług pani Wandalskiej, wyszła do ogrodu, zwierzyć się ze swej zadumy urzędowemu powiernikowi wszystkich zakochanych dziewcząt—pyzatemu księżycowi.

Bo na księżycu była pełnia, podobna do uczuć w sercu rozmarzonej Zuzi.

Nie przypuszczała ona, gdyż zarozumiałą nie była, żeby w tym samym czasie hrabia z Paryża, który w tak doraźny sposób zainstalował się w jej sercu, był myślami o niej zajęty.

A jednakże tak było. Paryżanin myślał o Zuzi. I, dziwna rzecz, gdy o niej myślał, duszno i ciasno mu się zrobiło w pokoju, który gościnność narajowiecka wyznaczyła mu na sypialnię.

Wstał z fotelu, zbliżył się do okna i otworzył je, aby świeższem odetchnąć powietrzem.

Księżyc w pełni pływał po niebie, zasłonięty w części liśćmi dosyć rozłożystego drzewa, którego grube konary nachylały się ku oknu.

Powietrze miało woń balsamiczną, zwłaszcza dla płuc paryżanina, który tego produktu natury, tak niezbędnego do życia, nigdy jeszcze, nawet w lasku bulońskim, w tak nieskażonym składzie, bez żadnej przymieszki węglanych miejskich wyziewów, nie wciągał może w swe płuca.

Poił się przez chwilę tym aromatem atmosfery, widokiem czystego nieba i lekkim szmerem zwolna kołyszących się liści.

Następnie spojrzał na ziemię.

Gałęzie i drzewa tak były ułożone, że nie zasłaniały widoku kilku alei pięknego narajowieckiego ogrodu.

Nagle w jednej z tych alei jakaś postać mignęła.

Paryżanie mają szczególny talent poznawania kobiet po ruchach. Przywykli oni, widząc kobietę, obserwować nietylko jej rysy, lecz całą postać, cała więc tkwi im w pamięci.

To też pytanie „która?" zajmowało go bardzo krótko.

Subretkę od pięknej wdowy, od pani domu i od jej siostrzenicy odróżnił prawie natychmiast.

— *Susanne!*—zawołał półgłosem — *c'est donc toi! tu m'attends!..*

Prawdziwie po parysku mówił do niej „ty" i z góry przypuszczał, że jeżeli przyszła do ogrodu, uczyniła to dla niego.

Odległość jednak była zbyt wielka, a dyskrecya nie pozwalała podnieść bardziej głosu.

Zuzia nic nie słyszała i, nie obejrzawszy się na wołanie, znikła w ocienionym liśćmi dalszym ciągu alei.

— To ona!—powtórzył paryżanin po polsku—to ona! Widocznie czeka na mnie... spodziewa się mnie! Mógłbym wprost wyjść na przechadzkę do ogrodu, ale nie byłożby to wtajemniczaniem służby w sekret naszego spotkania? Nie! tak nie można! skompromitowałbym ją, a i sobie popsułbym interesy. Wdówka nie przebaczyłaby mi nigdy, że pod tym dachem, pod którym ona przebywa, ja, zamiast marzyć o niej, bawię się w romans... z subretką!.. Pfe! cały projekt do niczego! A jednak czyż podobna dać za wygraną, czyliż się godzi pominąć dobrowolnie taką sposobność?...

Jedną tylko odpowiedź paryżanin mógł sobie dać na to pytanie, odpowiedź bardzo krótką:

— Nie!

Zaczął się rozglądać w swem stanowisku.

Wyjrzał przez okno, żeby się przekonać, czy jakie gzymsy lub inne ozdoby architektoniczne nie ułatwią mu zejścia na dół.

Był wcale dobrym gimnastykiem i byle tylko można

było czegoś się uczepić, był pewnym, nietylko że zejdzie, lecz i tego, że zdoła powrócić bez szwanku.

Ale dwór narajowiecki nie był budowany na pałac. Przodkowie pana Horyńskiego, którzy go wznieśli, więcej myśleli o wygodzie, niż o kosztownych ozdobach.

Ściana była gładka i nie przedstawiała żadnego punktu oparcia.

— Źle — pomyślał paryżanin — wiele jest rzeczy ładnych na Podolu, ale architektura dyabła warta. Do romantycznych przygód nie zdała się na nic...

Nie dawał jeszcze za wygraną. Patrzył wciąż w ogród, a księżyc, przyświecający z błękitu, służył mu za pomocnika w wykonaniu romantycznych projektów.

Wzrok jego padł na drzewo, rosnące przed domem.

Jeden z konarów tego drzewa dochodził tak blizko do okna, że go ręką można było dosięgnąć.

Gałąź ta nęciła go.

— Gdyby tak uchwycić się jej ręką — mówił do siebie — a potem zgrabnie wydostać się za okno?... Rzecz w każdym razie nie jest niemożebna... trochę tylko trudniej byłoby z powrotem...

Rzeczywiście powrót przedstawiał większą trudność, ponieważ gałąź mogła się tak ugiąć pod ciężarem człowieka, że niepodobna byłoby dostać z niej ręką do futryny okna.

Ta trudność nie zraziła paryżanina.

— Ba! co tam powrót—rzekł do siebie—powrót ułatwi mi Zuzia.

Skory do wykonywania powziętych postanowień, przechylił się przez okno i sięgnął do gałęzi, gdy nagle jeszcze jedna przyszła mu refleksya.

— Tak—powiedział—cóż będzie, jeżeli tu kto wejdzie i nie zastanie mnie?... Wyda się cała eskapada i okryje mnie śmiesznością...

Paryżanin, jak wszyscy Francuzi, bał się śmieszności bardziej, niż śmiertelnego grzechu.

Był wprawdzie na zaradzenie temu sposób bardzo prosty; zamknąć drzwi do swego pokoju, ale bohater nasz odrazu zrozumiał całe niebezpieczeństwo tego środka.

Zamknąć się i wyjść oknem znaczyło tyle co spalić za sobą okręty i skazać się na powrót tą samą drogą, albo też na wydanie się nocnej wycieczki i śmieszność.

Po chwili namysłu bohater nasz zdecydował się.

— To cóż?—rzekł do siebie — skoro trzeba powracać oknem, to oknem wrócę... Nie takie rzeczy w życiu się robiło.

Zasunął z determinacyą zasuwkę, powrócił do okna i, rozpatrzywszy raz jeszcze pozycyę, przystąpił do dzieła.

Wychylił się połową ciała przez ramę okienną i sięgnął ręką do owej upatrzonej najbliższej gałęzi.

Była dość gruba, nie było obawy, żeby się załamała pod nim.

Trzymając się silnie jedną ręką, dostać się do niej drugą nie było trudno.

Ująwszy obiema rękami gałąź, paryżanin posuwał się zwolna całym korpusem.

Był, jak już powiedzieliśmy, zręcznym i wykształconym gimnastykiem, nic więc dziwnego, że po krótkiej manipulacyi, będąc jeszcze kolanami na ramie okna, mógł już tak rękę przesunąć, że gałąź, na której miał zawisnąć, znajdowała się pod jego pachą.

Chwilka jeszcze... zawisł w powietrzu.

Gałąź ugięła się trochę, ale nie zatrzeszczała nawet.

Znaleźć nogą podstawę na jednym z niższych konarów i dostać się do pnia było już łatwiejszą częścią zadania.

W kilkanaście sekund później, bez żadnej szkody, bez zrobienia zwracającego uwagę szmeru bohater nasz był już na dole.

Zeszedłszy na dół, niby wódz przezorny, co pomimo wiary w zwycięstwo nie zapomina jednak o zabezpieczeniu sobie odwrotu, chociaż mu pilno było pobiedz w ogród, rozpatrzył z uwagą miejscowość i zastanawiał się, czy powrót nie będzie niemożebnym.

Rekonesans wypadł arcypomyślnie. Rozkład konarów drzewa widziany od spodu przedstawił się jeszcze korzystniej, niż przy oglądaniu go z góry. Dostawszy się do głównej gałęzi, która mu służyła za punkt oparcia do zejścia, bohater nasz mógł łatwo dostać się do ramy okiennej i w mgnieniu oka być w pokoju.

— No, to szczęście—odetchnął Francuz ,,mimo chęci''—piękniebym wyglądał, gdyby się okazało, że wrócić tędy będzie trudniej, niż się wydostać... Teraz nie traćmy czasu... *Malborough s'en va-t-en guerre!...*

Poszedł w stronę, gdzie mu zniknęła postać Zuzi.

Nie potrzebował jej szukać długo.

W niewielkiem oddaleniu, na pierwszej z brzegu ławce, osłoniętej cieniem drzew, tak, że jej z okien dworu widać nie było, siedziała subretka w zadumie.

Była tak zamyślona, że jej uwagi nie zwrócił ani szmer, jaki paryżanin zrobić musiał, wydostając się z okna o kil-

kadziesiąt kroków poza nią, ani nawet odgłos jego kroków w blizkości.

O czem, a raczej o kim marzyła, już wiemy.

Przedmiot jej marzeń, hrabia de Ventreneuf, ukazywał się właśnie przed nią i stłumionym głosem szeptał po francusku jej imię:

— *Susanne!... Susanne!...*

Zjawisko to przestraszyło pokojówkę.

Zrobiła nagły ruch, jak gdyby chciała zerwać się, uciec, ale została.

Coś, z czego nie zdawała sobie sprawy, przytrzymywało ją na miejscu.

— *Susanne!...* — powtórzył paryżanin raz jeszcze.

— *Ah! c'est vous, monsieur le comte* — odpowiedziała, wstając z bijącem sercem, dziewczyna.

— Tak, to ja, moje dziecko, to ja... — mówił ujmując ją zlekka za rękę, mniemany hrabia — siadaj... mam ci wiele, bardzo wiele do powiedzenia...

Zuzia nie miała odwagi skorzystać z zaproszenia. Czuła, że byłoby to niewłaściwe.

— Co pan hrabia ma mi rozkazać? — odpowiedziała stojąc.

— Rozkazać, mój aniołku?... ja, rozkazać?... — zaprotestował gość z Paryża — ja mogę tylko prosić...

— Pan hrabia bardzo grzeczny, ale... — spuściła oczy Zuzia i, mnąc chusteczkę, szukała przez chwilę w myśli brakującego francuskiego wyrazu — ale prośba pana hrabiego jest rozkazem, który moim obowiązkiem jest spełnić.

— Obowiązkiem?... co ty mówisz, Zuziu?...

— Jestem służącą, panie hrabio.

— Jesteś aniołkiem, powiadam ci... siadaj.

To mówiąc, paryżanin ujął ją zlekka wpół i delikatnym przymusem posadził na ławce przy sobie.

— Pan hrabia żartuje sobie ze mnie...

— Jeżeli całus jest żartem — dodał, wyciskając ponowny pocałunek na jej zarumienionym policzku.

— Panie hrabio! — szepnęła bez widocznej bardzo urazy.

Ten słaby opór, wydający się wyzwaniem, zachwycał, pociągał i ośmielał paryżanina.

Pochwycił ją w objęcia i uścisnął.

Zuzia tym razem zerwała się gwałtownie.

— Panie hrabio... *monsieur le comte* — zawołała przez łzy, mieszając polskie wyrażenia z francuskiemi— jestem biedną dziewczyną... *pauvre servante*, ale jestem uczciwą... *je suis sage*... na pamięć mojej matki, panie hrabio... *je ne sais plus ce que je dis*... Niech mi pan pozwoli stąd odejść...

— Zostaniesz, aniołku, musisz zostać! — zawołał paryżanin roznamiętniony — piekło i niebo teraz mi cię nie wydrą...

Wykarmiona na podolskim chlebie i mleku, Zuzia była jednak silniejsza od piekła i nieba paryżanina.

Rzuciła się i odepchnęła go tak silnie, że nasz bohater zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie przykląkł na jedno kolano.

Energiczna subretka znalazła się w mgnieniu oka o kilka kroków od niego.

Tu przelękła się swej odwagi.

Zamiast uciec, stanęła i złożyła ręce błagalnie.

— *Je vous conjure, monsieur le comte*, nie gub mnie

pan — mówiła, łkając — co ja zrobiłam *malheureuse*... Pan hrabia się gniewa... *vous êtes fâché, monsieur le comte*!...

Mniemany hrabia szybko się zerwał i przystąpił do niej.

Był pewnym, że już teraz, po takiem łzawem przeproszeniu, po przestrachu, jaki się malował w oczach dziewczyny, nie napotka żadnego oporu.

— Gniewać się!... na ciebie, moje dziecko?... ależ ja ci powiadam, że cię kocham, aniołku!... — zawołał, chcąc ją pochwycić.

Zuzia tym razem już nie czekała na niebezpieczeństwo.

Zwinna, jak sarna, zwróciła się w przeciwną stronę i zaczęła uciekać.

Paryżaninowi „miłość" dodawała skrzydeł. Był pewnym, że ją dopędzi za chwilę, zapomniał jednak, o tem, że ona znała każdy krzak, wszystkie zarośla obszernego ogrodu, w którym on się znajdował po raz pierwszy w życiu...

Moment jeszcze, już miał ją dosiądz, gdy nagle Zuzia znikła mu w zaroślach.

Stanął jak wryty.

— Czy iść tam za nią, czy dać pokój?... — pomyślał.

Krzak, w którym ukryła się, był gęsty, w blasku księżyca przedstawiał jedną zbitą masę. Trudno było pojąć, jak się tam nagle dostać mogła.

Mimo to mniemany hrabia byłby prawdopodobnie starał się gonić ją jeszcze, gdyby nie trzask gałęzi i szelest

liści w coraz większem oddaleniu, które świadczyły, że to byłoby daremnem.

Zuzia widocznie użyła krzaku tylko za osłonę i pod jej tarczą uchodziła dalej.

Wkrótce jasna jej sukienka mignęła się jeszcze w odległości kilkudziesięciu kroków, a potem znikła bezpowrotnie.

— *Voilà une déconfiture sans pareille*! — rzekł do siebie paryżanin, stojąc ciągle nieruchomo na miejscu— a to bezprzykładna porażka!... I ktoby się tego spodziewał po dziewczynie podolskiej, co oczyma zdaje się wabić, minką i uśmiechem ośmiela, całować się daje bez wielkiego oporu, a gdy odepchnie silniej, przeprasza ze łzami, jak gdyby dopuściła się zbrodni!... Którażby subretka paryska tak się znalazła?...

Był z siebie niezadowolony i zły, i dziwić mu się podobno nie można...

— Głupia awantura — powtarzał — prawdziwie głupia!... To szczęście, przynajmniej, że mnie nikt nie zobaczył... Teraz muszę wracać, jak niepyszny, a jutro gdy ją zobaczę, rozpocząć sobie drogę torować na nowo... A może lepiej nie zaczynać?... *Bah! cela reste toujours à décider et la nuit porte conseil*... Namyślimy się w nocy, tylko wracajmy.

Wracać tą samą drogą, którą przyszedł, nie miał ochoty. Przypuszczał, że Zuzia może nie poszła spać, lecz będzie patrzyła przez okno, albo przez uchylone drzwi od sieni.

Gdy go zobaczy wracającego, mogłaby go śledzić, podpatrzyć, jakim sposobem dostanie się do siebie, i śmiałaby się jeszcze z niego, że tyle trudności pokonał, a jej

jednej pokonać nie mógł. Nie chciał jej dać okazyi do ta kiego tryumfu i postanowił odejść inną drogą.

Poszedł.

Aleja zwężała się coraz bardziej i zamieniała w pro stą ścieżkę.

Nie zrażało go to wcale, szedł śmiało dalej.

Wtem nagle w oddaleniu dał się słyszeć odgłos zło wrogi.

Było to szczekanie psów...

Paryżaninowi zrobiło się zrazu zimno, potem go rąco.

Z początku pocieszał się myślą, że psy nie są po spuszczane z łańcuchów, ale wkrótce coraz bardziej zbli żające się echo szczekania odjęło mu i tę pociechę.

Przyśpieszył kroku, zaczął biedz, był już tylko o kil kanaście kroków od zbawczego drzewa, gdy psy zjawiły się tuż za nim.

Na szczęście nie zdołały go ubiedz.

Dopadł do drzewa i ze zręcznością ściganego kota zaczął się na nie wdrapywać.

— Jestem ocalony! — rzekł do siebie, pnąc się co raz wyżej po gałęziach.

Dostawszy się na wysokość połowy pierwszego pię tra, spojrzał w okno, przez które miał powrócić do siebie i aż zdrętwiał z zadziwienia.

W oknie stała pochylona i wyglądająca na ogród ja kaś postać męska, której twarz księżyc doskonale oświe cał.

Był to wujaszek Cezary, nikt inny tylko on nie wątpliwie... Przypomniał sobie jego fotogram, widywany w Paryżu, w albumie familijnym matki.

Gdyby nie psy, można byłoby uniknąć spotkania z nim, zeskakując na dół, ale psy ujadały zawzięcie...

Pan Cezary patrzył oknem, odgadując całą scenę, i czekał, co z niej wyniknie.

Paryżanin chciał czekać także, ale mu cierpliwości nie wystarczyło na długo.

Zrezygnował się nagle, zrobił jeden ruch ręką, potem drugi, uchwycił się zbawczej gałęzi i ze zdumiewającą zręcznością, czepiając się jej rękami, zbliżał się do okna.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — rzekł półgłosem, przypatrując się tym manewrom, pan Cezary— to już chyba nie mój siostrzeniec, tylko jakiś pajac francuski... Uwija się po drzewie, jak wiewiórka!...

Nie pozostało mu jednak dużo czasu do robienia tych uwag.

Nagłym, nadzwyczaj zręcznym, chociaż trochę zbyt ryzykownym ruchem, mniemany Francuz znalazł się na parapecie okiennym, od którego pan Cezary przestraszony odskoczył, i w sekundę później był już w pokoju.

— *Me voilà de retour*!... Otóż jestem z powrotem— zawołał po francusku — przepraszam pana najmocniej, żeś pan był zmuszony czekać...

W tej chwili nie miał wcale ochoty zdradzać narzuconego sobie *incognito*. Gniewał się na siebie, że taki obrót sprawa wzięła, czuł, że jest śmiesznym, ale nadrabiał miną.

Pan Horyński słuchał mówiącego szybko nieznanym mu językiem gościa i nie mógł zrazu przyjść do słowa.

— Spodziewam się wszakże, żeś pan na mnie długo nie czekał — prawił wciąż dalej w swojem narzeczu paryżanin — *n'est-ce pas, monsieur?...*

Trudno byłoby policzyć, ile przez ten czas w głowie pana Cezarego przesunęło się projektów, jak się ma znaleźć i ile ich odrzucił po kolei.

Rysy gościa przypomniały mu siostrę, wątpliwość kogo miał przed sobą, znikała. Nie mógł się jednak jeszcze zdecydować, jak się odezwać.

— Och! — prawił dalej rzekomy Francuz— i drzwi, jak widzę przez zapomnienie zamknąłem!... Przepraszam pana za to najmocniej... byłeś pan zmuszony je wysadzić... Zdobyłeś mnie pan szturmem? *N'est-ce pas, monsieur?*

Pan Cezary wreszcie przemówił.

— Nie spa! nie spa! — powtórzył z pewną irytacyą w głosie, naturalnie po polsku — co ty mi tam będziesz tłómaczył, żeś nie spał!... Przekonałem się o tem sam!... Wytłómacz lepiej, czemu, będąc moim siostrzeńcem, bawisz się w maskaradę i udajesz jakiegoś Francuza.

Wszystkiego prędzej mógł się spodziewać nasz paryżanin, tylko nie tej przemowy.

— *Moi* — zaczął po francusku, chcąc jeszcze dalej utrzymywać mistyfikacyę.

Nie wytrwał jednak w tym zamiarze. Zrobiło mu się miękko na sercu. Był przywiązanym do swej polskiej, nieznajomej rodziny. Widok szlachetnej postaci wuja, o którym z lat dziecinnych mgławе zachował wspomnienie, przejął go do głębi duszy, dźwiękowi pierwszych słów polskich, któremi doń w gnieździe ojczystem przemówiono, nie mógł się oprzeć...

Rzucił się w objęcia pana Cezarego, które się dlań otworzyły serdecznie.

— Widzisz, wujaszku — zawołał — nie dziwię się, że mnie poznałeś po tej wycieczce oknem z piętra do

ogrodu... To nasza krew i tyś tak robił niezawodnie za młodu...

— Nasza krew... nasza... — powtarzał pan Cezary wzruszony — prawda, tak, prawda, i ja to robiłem, bałamucie!... Więc ty nie zapomniałeś po polsku?... więc mi Malwina dotrzymała słowa, że cię nie wyhoduje na Francuza?...

— Dotrzymała, wujaszku!... mówię po polsku, jak widzisz, wcale dobrze...

— Ale skądże ci przyszło udawać cudzoziemca?...

— Ja udawałem?... ależ mnie to nawet przez myśl nie przeszło... wmawiali we mnie, żem Francuz... i ten człowiek, który mnie wiózł... i pokojówka...

Tu paryżanin ukąsił się w język. Powiedział za wiele— wzmianka o pokojówce była zupełnie nie na swojem miejscu. Trzeba ją było szybko zagadać...

— Potem przy herbacie i ciocia i tamte panie widocznie za Francuza mnie brały... więc myślę sobie...

Pan Cezary nie dał mu skończyć.

— Przy herbacie, przy herbacie — powtórzył — więc ty herbatą pierwszy dzień pobytu w moim domu myślisz zakończyć?... No, na to już nie pozwolę.

Szarpnął za dzwonek i Kajetanowi, który się ukazał po chwili, kazał przynieść butelkę.

— Z babami, widzisz — rzekł — nawet się napić przyzwoicie nie można. Ale kiedy cię mam, to ci się nie pozwolę położyć na sucho. Tylko, słuchaj-no, umiesz po polsku gadać, a umiesz ty po polsku pić?...

— Nie próbowałem, wujaszku, ale przy dobrej woli jakoś to pójdzie...

— No, zobaczymy... A teraz siadaj i spowiadaj się

przed wujem... Gadaj mi, tylko wprost i otwarcie, po coś ty oknem wyskakiwał do ogrodu?...

Paryżanin się zmieszał.

— *Ma foi, mon oncle...* —zaczął, mimowolnie wpadając w francuszczyznę.

— Tylko bez żadnych *mafa* i bez żadnych *mąkle*— przerwał mu pan Cezary — ja, widzisz, jestem jeszcze szlachcic starej daty, *parle franse* nie umiem. Gadaj śmiało, prosto z mostu, nie zjem cię przecież... Ot, spódniczka ci się jakaś pomiędzy krzakami mignęła i dalej za nią, chociażby kark skręcić...

— Ale gdzieżby znowu, wujaszku.

— No, no, daj pokój, daj pokój, już to w naszej krwi — uśmiechnął się i pokręcił wąsa pan Cezary — tylko pamiętaj, Francuziku, że nasze podolskie łapki, to nie takie lekkie, jak wasze wychuchane, i jak która muśnie po buzi...

Siostrzeniec mimowolnym, instynktownym ruchem pociągnął palcami po policzku.

— Ha! ha! ha! — roześmiał się na cały głos dziedzic Narajówki — złapałem cię... dostałeś już...

— Ależ daję słowo, że nie, wujaszku... — zaprotestował paryżanin.

— No, no, nie masz się czego wstydzić — pocieszył go pan Cezary — od kobiety to się przyjmuje, jak chleb z masłem. Nasza krew! nasza krew!... — dodał, klepiąc go po ramieniu.

Butelka wkrótce ukazała się na stole i pogadanka podolskiego wujka z paryskim siostrzeńcem pociągnęła się przy kolejnych lampkach może trochę za długo dla przywykłego do lekkich win francuskich paryżanina.

VIII.

Po zrzuceniu maski francuskiej, którą przypadek narzucił naszemu paryżaninowi, wszystko się nagle dla niego w całej Narajówce zmieniło. Z obcego stał się swoim, z gościa członkiem rodziny, z człowieka, z którym tylko kilka osób we dworze rozmówić się mogło, zrozumiałym dla wszystkich. On dla Narajówki a Narajówka dla niego przetłómaczyły się, że tak powiemy, na język przystępny dla stron obu.

Najpierwszy Kajetan, przynosząc wino z piwnicy na rozkaz pana Cezarego, zauważył tę metamorfozę, i zdumiał się nią tak, że uznał za potrzebne podzielić się z kimkolwiek tą wiadomością.

Do pań już iść z językiem nie można było, byłby więc zaszedł zapewne do kuchni, gdyby przypadkiem nie spotkał Zuzi, która, jak wiemy, tylko co powróciła z sentymentalnej wycieczki do ogrodu, urozmaiconej spotkaniem i bezskutecznym atakiem paryżanina, a zakończonej ucieczką.

— A! panna Zuzia—zagadnął ją — i gdzież się to chodziło?...

Dziewczyna zmieszała się bardzo i na razie nie wiedziała, co odpowiedzieć, żeby się nie zdradzić niepotrzebnie.

— Szukało się tu panny Zuzi — prawił dalej Kajetan — szukało się, ale panna Zuzia, jak kamień w wodę.

Pokojówce tchu zabrakło. Czyliżby jej niespodziewana schadzka w ogrodzie z hrabią de Ventreneuf już się wydała?...

— Wyszłam tylko na moment... — rzekła nieśmiało.

— I gdzież się to było, panno Zuziu? — wypytywał się dalej były wojak.

— Ciekawam bardzo, co Kajetanowi do tego? — odparła dziewczyna, udając obrażoną, aby położyć koniec tej indagacyi niebezpiecznej.

— Prawda że nic, prawda że nic — odpowiedział łagodnie czujący pewną słabość do pięknej Zuzi były pogromca meksykanek i paryżanek — a zresztą to się już wie!... Wie się nawet i o tem, jakim to sposobem panna Zuzia rozmówiła się z tym niby panem Francuzem, co to niby ani słowa po polsku nie umie.

Pewną jest rzeczą, że z ogrodowej przeprawy Zuzia nie powróciła blada, teraz jednak krew wszystka ze zdrowych jej policzków odbiegła.

— Ja wcale nie rozumiem, co Kajetan plecie— rzekła, dąsając się — proszę mi dać pokój, chcę iść spać!...

— No, no, to się wie, to się wie! — odrzekł Kajetan — ale teraz, kiedy się wie, że on gada po polsku

tak, jak ja i panna Zuzia, to nie zrobiło się wielkiej sztuki, jeżeli się z nim rozmówiło.

Zuzia spojrzała nań, nie rozumiejąc dobrze, o kim mowa.

— Kajetan chyba dzisiaj za bardzo do butelki zaglądał... Kto mówi po polsku?... nic nie rozumiem.

— A no, ten pan Francuz...

— Mówi po polsku?... Ależ to być nie może? — wypytywała się z zadziwieniem i niepokojem zaintrygowana dziewczyna.

— Jak ja i panna Zuzia — potwierdził swoje słowa były wojak — słyszało go się na własne uszy. Ale niby panna Zuzia nic nie wie. Kogo jak kogo, ale mnie panna Zuzia nie wyprowadzi w pole, że umie po francusku.

— *Et si je savais?* — zawołała nagle pokojówka i, korzystając ze zdumienia, w jakie te słowa byłego wojaka wprawiły, odbiegła szybko i znikła, a przez to uniknęła dalszego badania, które jej nie było na rękę.

Kajetan stał i patrzył za nią z otwartemi szeroko oczyma i ustami, w postawie zagapionej, nieprzynoszącej bynajmniej zaszczytu byłemu żołnierzowi dwóch armii.

— Tfu! — splunął nagle — czary czy co? Urzekło to człowieka chyba, czy cuda dzieją się w Narajówce?... Francuz gada po polsku, a pokojówka mówi *si je savais?*... I niech się teraz znajdzie taki mądry, co się domaca, czy oni z sobą po polsku, czy po francusku rozmawiali?...

Jak widzimy, Kajetan bardzo był zainteresowany tą rozmową, co podobno dowodzi, iż fertyczna subretka głębiej się trochę zakwaterowała w jego żołnierskiem sercu, niż on to nawet sam przypuszczał. Frazesem fran-

cuskim, ciśniętym niespodziewanie na byłego wojaka, Zuzia dokonała reszty i zabrała go formalnie do niewoli. Nie zaręczylibyśmy też wcale, czy, poszedłszy spać, tej nocy były żołnierz meksykański nie marzył, że siedzi w Ołomuńcu pod pantofelkiem pięknej Zuzi, i że mu tam nie jest tak źle, jak to, według świadectw dziejopisarskich, w dawniejszych wiekach bywało jeńcom w jasyrze.

Dzień następny miał być dla naszego paryżanina niejako dniem ponownej instalacyi w Narajówe.

Libacye, odbywane wieczór z panem Cezarym, były powodem, że gość paryski znacznie później, niż było zwyczajem w podolskim dworze, obudził się i nie mógł już wziąć udziału we wspólnem śniadaniu.

Przysłano mu herbatę i zakąski na górę, wkrótce potem zjawił się znów pan Cezary, który szczególnie zajął się siostrzeńcem.

Zastał paryżanina już prawie ubranego, przy śniadaniu, do którego widocznem było, że mu służył apetyt.

— Oho! oho! — zawołał, wchodząc — nie spodziewałem się, mój wychuchany Francuziku, że jesteś taki zuch... Byłem pewny, że po wczorajszem winie leżysz jeszcze z obwiązaną głową i jeżeli co pijesz, to chyba rumianek albo miętę pieprzową...

— Brr! — trząsł się paryżanin na wspomnienie tych dekoktów — ale przekonywasz się, wujaszku, że twój siostrzeniec jeszcze krzepki...

— To prawda — poklepał go po ramieniu pan Cezary — jeszcze wyglądasz na młodego człowieka. W tych naszych zdenerwowanych czasach zdarza się często spotkać młodzików w twoim wieku, którzy są już starcami

ciałem i duchem. Przyznam ci się, że się bałem o ciebie, ażebyś w tej głównej kwaterze wszystkich pokus szatańskich, którą nazywają Paryżem, w tej kolebce rozpusty...

— W tem emporyum wszelkiej sprosności — poddał z komicznym patosem Grzmicki.

— W tej akademii złego przykładu... — prawił dalej emfatycznie pan Cezary.

— W tym rezerwuarze niemoralności i zgnilizny— uzupełnił znów paryżanin.

Pan Cezary spostrzegł się i machnął ręką.

— Nie przerywajże mi, młodziku—zawołał—kiedy, jak przystało mojemu wiekowi, zacząłem ci prawić kazanie...

— Kazanie?... a ja myślałem, że wujaszek chciał mi powiedzieć komplement, żem się nie zmarnował i nie wyniszczył, tak jak to inni robią w Paryżu...

— Tak, tak właśnie, chciałem ci tego powinszować...— przyznał pan Cezary.

— A więc dziękuję ci za to uznanie, drogi wujaszku— rzekł z udaną powagą paryżanin—jakkolwiek przyznaj, że jeżeli się oszczędzałem trochę, czyniłem to w egoistycznych jedynie widokach, dlatego, że mi zdrowie i siły potrzebne były na dalszy użytek dla siebie.

— No, mój drogi, daj pokój. Że dla siebie, nikt ci nie przeczy, ale i dla kogoś przecie.

— Dla kogoż to, jak sądzisz, wujaszku?

— Dla przyszłej pani Franciszkowej Grzmickiej...

— Och! och! drogi wujaszku, ta pani jest osobą mitologiczną, która nigdy nie istniała, nie istnieje i nigdy w przyszłości istnieć nie będzie.

— Co?... więc tyś sobie postanowił nie żenić się wcale?..—zapytał pan Cezary, cofając się o parę kroków z bliskiem przerażenia zdziwieniem.

— Nic sobie nie postanawiałem, drogi wujaszku, ale sądzę, że każdy człowiek rozsądny powinien był już dawno przyjść do przekonania, iż małżeństwo zawarte w latach młodych krępuje polot mężczyzny, a zawarte w wieku dojrzałym jest niewłaściwością, która się mści na lekkomyślnym...

Paryżanin miał ochotę coś mówić jeszcze, ale zaprzestał nagle, przypomniawszy sobie, że wuj jego Cezary należał właśnie do owej kategoryi mężów, o której chciał się wcale uszczypliwie wyrazić.

— Człowieku, co ty wygadujesz?...—zagadnął go naprawdę już teraz przerażony wuj—więc ty zupełnie potępiasz nawet instytucyę małżeństwa?

— Instytucyi w zasadzie nie potępiam—wyjaśnił swój pogląd paryżanin—jest ona może w założeniu dobra, i nie byłoby nic piękniejszego jak ożenić się, gdyby się było z kim ożenić.

— Jakto, gdyby było z kim?...—zaprotestował pan Cezary—poszukawszy, znajdzie się zawsze...

— Poszukawszy, znajdzie się zawsze—podchwycił paryżanin—perspektywę najnieszczęśliwszego pożycia, mój wujaszku...

— Zwaryowałeś?... tyle małżeństw żyje szczęśliwie!...

— Są to albo małżeństwa krótkowidzące, które pozory biorą za rzeczywistość, albo mało wymagające, którym odrobina, zwana miesiącem miodowym, na całe życie wystarcza. Zresztą, mojem zdaniem, małżeństwa takie należą już do historyi. Kobiety tak są teraz przewrotne...

— Zmiłuj się, chłopcze—przerwał mu pan Cezary—i jeżeli żartujesz, powiedz, że to żarty... Czy matka twoja wie o tych teoryach...

— Trudnoż się matce spowiadać z takich antykobiecych poglądów—odpowiedział Grzmicki—ale mój ojczym, baron de la Foutelaie, w znacznej części je podziela. I niech wujaszek nie lekceważy jego zdania. Mój ojczym jest człowiekiem bardzo wykształconym, obytym w świecie, ma wiele doświadczenia, podróżował, kochał i bywał kochanym. Aleksandra Dumasa zna osobiście, bywa u niego i nieraz wspólnie rozbierają poglądy, które cię tak zapewne zajmowały w broszurach i romansach tego znakomitego pisarza. *Question de divorce, Recherche de la paternité*, i sławny frazes: *tue-la*... są to wszystko rzeczy znakomite!..Wszak czytujesz to, wujaszku?...

— Także ci się zachciało!... Jabym czytał o *szerszach i o tiulach!*... To w najlepszym razie kobieca rzecz...

— Ale wujeneczka czytuje i mówi ci, co tam jest, prawda, wujaszku?

— Płochy jesteś młodzik i drwisz sobie ze starego po parysku—odparł pan Cezary tonem łagodnego napomnienia — wujenka trochę czyta różne rzeczy, ale pewno nie takie, które wam tam w Paryżu zawracają w głowach. Czemżeby się stało społeczeństwo, czem kraj, czem rodzina, gdyby wszyscy zaczęli hołdować takim teoryom, jakie ty wygłaszasz, pustaku?

— Czemby się stało społeczeństwo, o to nas głowa boleć nie powinna—odpowiedział wesoło siostrzeniec—my jesteśmy jednostki i powinniśmy myśleć o sobie, a ogół, jeśli może, niech o sobie myśli. Kobiety dały nam przykład,

idźmy za nim. Jeśli my na nie liczyć nie możemy, to niech i one na nas liczyć nie mogą...

Pan Cezary zmarszczył czoło.

— Piękne głosisz zasady, mój chłopcze, niema co mówić—rzekł po chwili z powagą—gdybym wierzył, że je wyznajesz naprawdę, musiałbym bardzo, bardzo ubolewać nad tobą. Ale ja ci nie wierzę, choćbyś mi się przysięgał. Mówisz tak dla fanfaronady, dla zwyczaju, ale w gruncie masz serce i wierzysz w serce, nieprawdaż?

Paryżaninowi żal się trochę zrobiło wuja. Nie chciał go rozczarowywać, gdyż wiedział, że tem sprawiłby mu przykrość, a może boleść.

— A któż wie—rzekł wesoło—może tam i jest na dnie mojej duszy coś w tym gatunku, chociaż się tego wcale nie domyślam...

— No, no, jeżeli jest, to już cię stąd nie puścimy, mój chłopcze, dopóki tego czegoś, ukrytego w głębi, na wierzch nie wydobędziemy—zakonkludował pan Cezary.

Konkluzya zapieczętowana została serdecznym uściskiem, po którym pan Horyński, jakby się obawiał, żeby siostrzeniec jeszcze do tego przedmiotu nie powrócił, zagadnął go zaraz:

— Możebyś się przejechał ze mną konno. Objedziemy granice Narajówki, zobaczysz moją posiadłość.

Paryżanin przyjął propozycyę. Po winie wczorajszem potrzebował użyć ruchu, przewietrzyć się. Narajówka przytem, jako miejsce rodzinne, interesowała go zawsze.

Przyprowadzono konie i dwaj panowie pojechali.

Grzmicki okazał się wcale dobrym jeźdźcem, co bardzo zadowoliło pana Cezarego.

— Żebyś ty mi się nie wiem jak przedstawiał za Francuza—rzekł, patrząc, jak siostrzeniec dosiadał konia—to ja ci powiadam, że jest w tobie więcej Polaka, niż sam mógłbyś przypuszczać.

Objechali granicę, zwiedzili las, którego znaczny kawał do Narajówki należał, obejrzeli budynki i różne szczegóły gospodarstwa. Wszystko to zajęło parę godzin, poczem, po lekkiej przekąsce z wujem, paryżanin poszedł do siebie, przebrać się do obiadu, który zapowiedziano po staropolsku punkt o dwunastej, to jest mniej więcej na godzinę, o której w Paryżu zasiada się do śniadania.

— Wyborny, zacny człowiek z mego wujaszka — mówił do siebie nasz bohater, zmieniając odzież—prawdziwie kopalny poczciwiec. Takich jak on trzebaby u nas we Francyi szukać gdzie chyba na bardzo dalekiej od Paryża prowincyi, jeżeli nie w warstwie kredowej. Mówię mu o sobie jasno i otwarcie, spowiadam się z moich przekonań, a on... nie wierzy! Nieoszacowany materyał na męża. Żona mogłaby stanąć przed nim i powiedzieć: „Mężu... zabij mnie albo przebacz—jak postąpisz, twoja rzecz—zdradziłam cię dnia X. o godzinie Y. minucie Z... wspólnikiem moim był NN., wiesz, ten twój najzaufańszy przyjaciel, o lat piętnaście młodszy i o sto procent piękniejszy od ciebie"... I już stąd widzę, już stąd jakbym słyszał kochanego wujaszka, który jej z dobroduszną miną księżyca w pełni odpowiada: „Ja mam cię zabić?... za co?... ja mam ci przebaczać?... co?... choćbyś mi sto razy przysięgła, żeś mnie zdradziła, ja ci nie wierzę!... Nie, nie... w tobie w głębi duszy jest ta kobieta święta, o której ty sama nic nie wiesz. I z kim? Z moim przyjacielem NN! Nie bądź płochą, kobieto, i nie oskarżaj tego młodego człowieka, który także na dnie serca posiada zasoby prawości i lojalności, o ja-

kich sam nie ma pojęcia". Tak, tak niezawodnie odpowiedziałby mój serdeczny wujaszek, gdyby wujeneczce przyszła fantazya uczynić przed nim takie zwierzenie. W krótkiej rozmowie wyegzaminowałem go dobrze i wiem co o nim mam sądzić... Teraz przy obiedzie będę zwracał baczną uwagę na owego domownika, z którym szeptała wczoraj, i jestem pewny, że znajdę dowód, iż wujeneczka korzysta z dogodnej sytuacyi, tak jakby każda inna korzystała na jej miejscu.

Takiemi rozmyślaniami, to o wuju i jego żonie, to o pani Wandalskiej, zajmował sobie czas gość paryski, dopóki go nie zawiadomiono, że godzina obiadowa już uderzyła...

Przed przyjściem do stołu towarzystwo zebrało się w salonie i tu dopiero nastąpiło prawdziwe poznanie się gościa z paniami, które dnia poprzedniego mówiły z nim, jak z kimś nieznajomym i wcale nienależącym do rodziny.

Zbliżenie się z kuzynkami ułatwił paryżaninowi w sposób dosyć wesoły, pełen zawsze humoru pan Horyński i pani Helena oraz Bronisia zaczęły go tytułować „kuzynkiem".

Co prawda, to Bronisi trudno było wymówić ten wyraz bez niejakiego pomieszania, któremu towarzyszył zachwycający rumieniec.

Przy stole, jak w dniu poprzednim, znalazł się i ów zagadkowy dla paryżanina młody człowiek, zajmujący niby pośrednie między oficyalistą a członkiem rodziny stanowisko, któremu nasz bohater, na zasadzie dostrzeżonego szeptu z panią domu, przypisywał tę rolę, jaką w komedyach i romansach francuskich zwykle odgrywa „ów trzeci".

Tym razem zaznajomiono go z Grzmickim, który przy tej sposobności dowiedział się tylko, że młody ten człowiek nazywa się Emil Rzepski, jaką zaś w hierarchii domowej zajmował pozycyę, tego mu na razie nie powiedziano.

Rozmowa przy stole była ożywiona i wesoła, jak zwykle wtedy, kiedy pan Cezary nie brał na dyplomacyę kobiecą i nie chorował na migrenę. Nie brakło więc żarcików z nieśmiałości dwojga kuzynków, paryżanina i Bronisi, oraz z dosyć wyraźnych zabiegów paryskiego gościa około wdówki o gotowym chlebie, pani Wandalskiej.

Paryżanin rzeczywiście z Bronisią mówił mało, a z panią Wandalską, lubo starał się być dla niej jak najbardziej uprzedzającym, nie wchodził także w obszerniejszą rozmowę. Chwil spędzanych przy stole nie uważał on za właściwe do prowadzenia kampanii miłosnej. Francuzi, gdy jedzą, zbyt szczerze oddają się jedzeniu, żeby jednocześnie inną poważną sprawą zajmować się mogli, a Franciszek Grzmicki był pod tym względem zupełnym Francuzem.

Nie przeszkadzało mu to jednak obserwować uważnie pani domu i owego pana Emila.

Nic jednak podejrzanego nie podchwycił, choć do tego była wszelka sposobność. Gdyby pani Helena chciała, mogłaby z owym panem Emilem zamienić tyle spojrzeń, tyle znaków porozumienia, ileby się jej podobało, i pan Cezary byłby tego wcale nie dostrzegł.

— Nie pojmuję doprawdy, dlaczego oni tacy ostrożni? —myślał nasz bohater—czyżby się mnie żenowali?... czyżby się lękali, że ich zdradzę?...

Podano czarną kawę, przed którą kilka osób z szare-

go końca opuściło już salę jadalną. Ów pan Emil jednak pozostał, chociaż w prowadzonej rozmowie nie brał prawie wcale udziału.

Przy powstaniu od stołu pan Cezary zagadnął panią Wandalską o coś takiego, co dłuższej wymagało odpowiedzi, a Bronisia zwróciła się do paryżanina.

— Czy kuzynkowi niewiadomo—rzekła— że pojutrze będziemy mieli gości w Narajówce?...

— Tem mi przyjemniej, że przy tej sposobności będę mógł poznać bliżej okoliczne towarzystwo—odpowiedział paryżanin.

Wywiązała się stąd rozmowa, w której Grzmicki odpowiadał kuzynce i patrzył niby na nią, ale oko jego ukradkiem śledziło panią Helenę i owego pana Emila.

I nie śledziło ich daremnie.

Pani Helena, rzuciwszy okiem w stronę męża, jakby dla upewnienia się czy nie uważa, postąpiła parę kroków ku owemu panu Emilowi, a on, jakby odgadując jej myśl, zbliżył się również nieco do niej.

Gdy już byli przy sobie, pani Helena stanęła tak, że pan Cezary nie mógł widzieć ich rąk...

Ale paryżanin widział je dobrze, a nawet bystrym, wyćwiczonym w podobnych sprawach wzrokiem dostrzegł coś więcej.

W chwili, gdy ów pan Emil składał na drobnej rączce pani Heleny, jako gospodyni domu, uświęcony tradycyą parafialną pocałunek dziękczynny, z ust jej wyszło parę słów niedosłyszalnych, z ust jego jakieś słówko, jedno tylko, i lekkie skinienie głowy, a jednocześnie mała kartka papieru przesunęła się z tejże drobnej rączki do dosyć wielkiej ręki owego pana Emila...

Zaraz potem ów pan Emil odszedł ku drzwiom, za któremi znikł wkrótce, a pani Helena, odchodząc, spojrzała w stronę męża, jak gdyby chciała się upewnić ponownie, czy nic nie widział.

Ale pan Cezary był wciąż zajęty rozmową z panią Wandalską.

— No, teraz dałbym szyję za to, że wujeneczka romansuje z panem Emilem—rzekł w duchu paryżanin— a piękną wdówkę podejrzewam, że jest powiernicą romansu...

IX.

Podczas poobiedniego wypoczynku gość paryski zastanawiał się nad rozkładem dnia w Narajówce i niebardzo był z niego zadowolony.

O ile się dotąd okazywało, sposobność do widywania się z paniami zdarzała się tylko przy stole. To wcale paryżaninowi nie było na rękę. Jemu potrzebne były koniecznie jakieś zabawy, przechadzki, przejażdżki, wycieczki, bez których trudno mu było zbliżyć się do pani Wandalskiej i rozpocząć jej szeptać owe miodowe słówka, które się najpłynniej mówią, kiedy się znajdujemy na uboczu, w oddaleniu od innych obojętnych osób, kiedy wiemy, że słowa nasze padną tylko do uszka tej, dla której są przeznaczone i przez nią będą odpowiednio odczute.

— Trzeba będzie postarać się o podobne okazye — mówił do siebie—bo się tutaj wkrótce na śmierć zanudzę. To szczęście, że pojutrze ma być zjazd gości i zabawa, może to wreszcie będzie wstępem do rozrywek.

Źle sądził Narajówkę nasz paryżanin. Nie było to bynajmniej miejsce tak nudne, miano tam tylko trochę

przesadzone wyobrażenie o trudach podróży z Paryża do Borków Wielkich i chciano jeszcze nazajutrz po przyjeździe pozostawić gościowi jak najwięcej czasu do wypoczynku, którego on wcale nie był spragniony.

Nie mając co robić i nie czując żadnego pociągu do włoskiej *siesty* popołudniowej, którą znał tylko z teoryi, paryżanin nasz postanowił zabrać zaraz bliższą znajomość z panem Emilem Rzepskim i zbadać dokładnie istotę odkrycia, które uczynił przy stole.

W tym celu zawołał Kajetana, który mu został oddany do posługi, z początku *ex re* swojej francuszczyzny, a którego potem pozostawiono nadal przy nim, chociaż już jego wiedza lingwisty okazała się niepotrzebną.

— Słuchajno, Kajetanie—rzekł do byłego wojaka paryżanin—jabym chciał odwiedzić tego pana Rzepskiego, ale powiedz mi, jakie on tu stanowisko zajmuje... Czy jest rządcą?

— Ech! proszę łaski wielmożnego pana, to się wie, że rządcą nie jest.

— Więc plenipotentem?

— I plenipotentem, proszę wielmożnego pana, także nie.

— A więc czem jest?

Kajetan z miną trochę konfidencyonalną pochylił się ku Paryżaninowi i z rodzajem tajemniczości odpowiedział:

— Pan Rzepski, proszę wielmożnego pana, to jest... gromon.

— Gromon?—powtórzył paryżanin, nie będąc pewnym, czy dosłyszał.

— Gromon, proszę wielmożnego pana.

— I cóż to jest gromon?...

— Gromon, proszę wielmożnego pana—starał się objaśnić jak mógł najzrozumialej Kajetan—gromon to jest gromon.

— A cóż on robi, ten gromon?...

— To się wie, że robi, co jeno żywnie chce, proszę wielmożnego pana. Czasem jeździ konno po polu, w śpichrzu każe zboże przemierzać, młócki dogląda... rozkazuje i hałasuje, nawet ekonoma zwymyśla... a czasem nic... przez pół dnia leży w izbie na kanapie, pali fajkę pyk, pyk, albo jedzie do Tarnopola i nie wróci przez całą noc...

Z tego opisu jego czynności „gromon" Rzepski niebardzo się paryżaninowi spodobał.

— Pasorzyt... darmozjad...—robił o nim w duchu uwagi—pfe, wujeneczko, tego się po tobie nie spodziewałem...

— Zresztą, proszę wielmożnego pana—zakończył opowiadanie Kajetan—niby to się nie wie, co taki gromon robi?...

— Oddawnaż on tu jest tym gromonem?

— Na święty Jan był rok.

— A na długo zgodzony?

Kajetan spojrzał z pod oka na paryżanina z pewną urazą.

— Ii...—odrzekł—wielmożny pan żartuje... Gromona się przecie nie godzi... Jest rok, dwa, albo trzy lata, ile tam trzeba, a potem bierze się innego...

— Dziwna jakaś posada—wzruszył ramionami Grzmicki—nie miałem o podobnej instytucyi wyobrażenia. Zdaje mi się, że nasz francuski *ami de la maison* ma w Polsce, na wsi, hierarchiczne stanowisko, niby służbowe, niby

niezależne i nazywa się „gromon". Gdybym zamierzał kiedyś opisać moją podróż po Polsce, tobym to sobie zaraz zanotował.

Uwag tych naturalnie nie mógł słyszeć Kajetan, gdyż były tylko w myśli zrobione.

— Więc jakże, Kajetanie—zakończył paryżanin—zaprowadzisz mnie do tego pana Rzepskiego?

— Czy zaraz, proszę wielmożnego pana?

— Naturalnie, że zaraz.

— Zaraz to się nie zaprowadzi, proszę wielmożnego pana — odpowiedział kategorycznie były wojak.

— O!... a to dlaczego?... Czy do pana „gromona" chodzić nie wolno, czy też nie masz ochoty oddać mi tej usługi?—zagadnął zdziwiony opozycyą gość paryski.

— Gdzieby zaś nie było wolno albo nie miało się ochoty, proszę wielmożnego pana—odrzekł były żołnierz dwóch armii—ale jakże się ma zaprowadzić, kiedy się widziało, że pan gromon zaraz po obiedzie siadł na bryczkę i pojechał do Tarnopola.

— Wiesz, Kajetanie—rozśmiał się paryżanin—że ty zawsze na końcu znajdziesz racyę, która każdego ostatecznie pokona. Masz tęgą głowę!...

— Ma się taką, proszę wielmożnego pana, jaką się od Pana Boga dostało—odpowiedział Kajetan.

Paryżaninowi tymczasem wiadomość o wyjeździe pana Emila do miasta nasunęła myśl rozerwania się także podobną wycieczką.

— Tam się trochę rozruszam—mówił do siebie—spotkam się z tym gromonem, pociągnę go za język przy kieliszku i dowiem się wszystkiego.

Kazał zaprządz i dla siebie, zastrzegając wyraźnie, że

nie chce powozu, tylko bryczkę, i pojechał z Kajetanem, który tym razem przyjął na siebie rolę woźnicy.

Malowniczy widok okolic nad Seretem położonych tak przykuwał uwagę paryżanina, że mało bardzo podczas drogi rozmawiał z byłym wojownikiem efemerycznego za-atlantyckiego cesarstwa.

Tarnopol sam był także dla niego nowem i ciekawem widowiskiem, nie widział bowiem dotąd polskiego małego miasta, a i we Francyi, oraz wogóle za granicą, przebywał zwykle po miastach wielkich lub takich miejscowościach, które, dla szczególnej piękności położenia, chętniej i liczniej nawiedzają turyści.

Naturalnie, że i z Tarnopola nie mógł wynieść bardzo pochlebnego wyobrażenia o tem, czem jest nasze miasto prowincyonalne, ale zawsze Tarnopol, jako gród większy, przeszło dwudziestotysięczny, korzystniejsze na nim wywrzeć musiał wrażenie, niż gdyby był na początek zajechał do jakiego Kulikowa lub Bóbrki.

Znajdzie się tam parę ulic porządniejszych, kilka placów, prawie zawsze pustych, źle zabrukowanych i pomiędzy kamieniami bruku porosłych trawą, ale zawsze imponujących rozmiarem, widać wieże kilku kościołów i dość wyraźnie uwydatnia się podział miasta na część górną i dolną. Więcej to w każdym razie, niż można żądać od pierwszego lepszego partykularza.

— Gdzież się zajedzie, wielmożny panie?—zagadnął go Kajetan.

— Wszystko mi jedno—wzruszył ramionami paryżanin—zajedź gdzie ci się spodoba najlepiej.

— Może pod Złotego jelenia?...

— Dobrze.

— Albo do hotelu Europejskiego?

— No, to już lepiej pod Złotego jelenia. Nie potrzeba mi w tej chwili europejskiego komfortu.

Kajetan wjechał na rynek, gdzie rozgościły się na środku szeregi kramów, w budynkach źle dopasowanych jeden do drugiego i przypominających żywo krakowskie Sukiennice, z owych pierwotnych czasów, kiedy nie były jeszcze jednym budynkiem, lecz także składały się z rozmaitych budowli, z których dopiero później całość zlepiono, jak się dało.

Kiedyś, kiedyś za jakie 50 lub 60 lat, gdy wszystkie miasta się podniosą, gdy i Tarnopol w ogólnym postępie dojdzie do tej liczby mieszkańców, jaką miał Kraków przed laty kilkunastu, powstanie i tam „kwestya odbudowy Sukiennic" i po długich polemikach w pismach miejscowych znajdzie się jaki Zyblikiewicz, który ją ujmie w energiczne ręce po poprzednikach i doprowadzi do przyzwoitego rozwiązania.

Kajetan zajechał przed jakiś niepozorny domek, na którym paryżanin z pewnym trudem odcyfrował następujący, już trochę niewyraźny od starości napis:

Z a j a z d

i, traktiernia. Pod złotijm

Jielieniem, H. Wetz.

I ortografia i powierzchowność hotelu niebardzo zachęcały paryżanina.

— Wiesz co?—rzekł do byłego wojaka—pogódźmy się już lepiej z Europą. Jedź do Europejskiego.

— Ha! to się i pojedzie, wielmożny panie—odrzekł, zacinając konia, były wojak.

Drugi ten zakład leżał o sto kilkadziesiąt kroków na drugim rogu rynku.

Mieścił się w wielkim murowanym domu, przyozdobionym olbrzymim szyldem z napisem:

Hótel de Europä Mauryc Lipper.

Powierzchowność tego wielkiego murowanego domu nie była wcale ponętniejszą od Złotego jelenia, owszem przeciwnie.

Trudno jednak było przebierać długo, tembardziej, że nie było w czem. Paryżanin już się nie cofnął, zajechał do Europy, różniącej się dwiema kropkami nad ostatnią literą od znanej powszechnie części świata tegoż nazwiska.

I nie można powiedzieć, żeby źle trafił.

Wchodząc na schody, prowadzące do wskazanego mu numeru, spotkał się oko w oko z tym, dla którego do Tarnopola przyjechał—z panem Emilem Rzepskim, sprawującym w Narajówce urząd „gromona".

Pan Emil spojrzał na gościa z Narajówki dosyć dziwnie, jakby nie wiedział, czy ma się zbliżyć do niego czy przejść, udając, że go nie poznaje. Znali się jeszcze zbyt mało i nie rozmawiali z sobą wcale, a przytem parafianin podolski nie był tak dalece wprawny w zabieranie znajomości, jak wychowaniec Paryża.

Grzmicki ukłonił mu się grzecznie, pan Emil z uprzejmością odpowiedział na ukłon, podali sobie ręce i lody zostały przełamane.

— Pan na długo przyjechał do miasta?—zapytał „gromon" paryżanina.

— To mi zupełnie obojętne—odrzekł nasz bohater—

na godzinę, parę lub kilka. Przybyłem bez żadnego celu, jedynie dla przejechania się i obejrzenia miasta.

— Jeżeli o obejrzenie idzie, to mogę być pańskim przewodnikiem, chociaż niewiele jest tu do obejrzenia— odpowiedział pan Emil.

— Korzystałbym chętnie z pańskiej grzeczności— przyjął propozycyę paryżanin—obawiam się tylko, czy nie zabiorę panu czasu, który na co innego może być potrzebny.

— O nie, panie!... interes, który mi zleciła pani Horyńska, już załatwiłem, jestem więc zupełnie wolny—odparł pan Emil—i jeśli panu nie będę zawadzał, zostanę tu, dopóki pan zechcesz, a potem powrócimy razem.

Grzmicki zgodził się i na to; sposobność wybadania ,,gromona" nasuwała mu się sama.

Był to, jak się zdawało, człowiek mający serce jak na talerzu. Wszakże niepytany i nieproszony wyspowiadał się zaraz, że przybył w interesie pani Heleny. To też paryżanin pomyślał, że z takim naiwnym parafianinem nie ma potrzeby robić długich wstępów i można chwycić się zaraz pierwszego wątku, jaki się nastręczał, do rozpoczęcia indagacyi.

— Więc pan przybyłeś tutaj w interesie pani Horyńskiej?—podchwycił.

— Tak, panie—przyznał się bez żadnych ogródek parafianin.

— Szczęśliwy z pana człowiek!—wtrącił z akcentem, który tym wyrazom nadawał pewne znaczenie, Grzmicki.

— O tak, panie!—odrzekł z przekonaniem i przejęciem się ważnością swojej misyi ,,gromon"—szczęśliwym

się zawsze czuję, ilekroć mogę oddać jakąkolwiek przysługę damom...

Paryżanin spojrzał nań dziwnie... Szczególnie śmieszne wrażenie czynił na nim rodzaj patosu, z jakim były wymówione te słowa. Między mężczyznami w Paryżu nie rozmawia się tym tonem, ani temi słowy o kobietach.

— Bo też kobiety—odrzekł i zaraz się poprawił z niejakim przekąsem paryżanin—bo też damy umieją nas za to wynagradzać... nieprawdaż, panie?

Rzepski oczy przewrócił, wydał pół westchnienia i odpowiedział z podobnem poprzedniemu namaszczeniem:

— O tak, panie, o tak!... Jak to lubo, jak to słodko, usłyszeć z pięknych ust: ,,dziękuję".

,,Gromon" w oczach paryżanina stawał się coraz śmieszniejszym. Z tego rodzaju egzemplarzami nie miał on sposobności spotykać się w życiu. Starego to stempla była moneta, która się już wytarła i wyszła z obiegu w Paryżu, ale widać kurs jeszcze miała na Podolu.

Pamiętny swojej roli indagatora, nie pozwolił sobie jednak nasz paryżanin najlżejszej krytycznej uwagi. Owszem, dodawał palnego materyału do bengalskiego ognia sentymentów parafianina.

— A tembardziej, jeżeli powie coś jeszcze milszego, niż ,,dziękuję".

— Naprzykład ,,bardzo dziękuję", lub ,,serdecznie panu dziękuję"—wymawiał Rzepski, pojąc się dźwiękiem swych wyrazów, jak gdyby echem słyszanych kiedyś w swem życiu tego rodzaju podziękowań.

— Ba! panie—przerwał mu paryżanin—kobiety... chciałem powiedzieć damy, nietylko słowo ,,dziękuję" z takim wdziękiem wymawiać i odmieniać potrafią.

— O tak, panie! umieją także inne!...—przyznał tonem lirycznym Rzepski.

— Naprzykład ,,kochać"...

,,Gromon" sponsowiał.

Bohater nasz nie mógł pojąć swego interlokutora. Słowo ,,kochać" robiło na nim takie przejmujące wrażenie, że sprawiało to efekt, graniczący z udawaniem.

— Czy on nie drwi sobie ze mnie przypadkiem?— pomyślał.

— Och! panie—odrzekł Rzepski, wydawszy tym razem aż półtora westchnienia—czegożbym nie dał, gdybym mógł raz to słowo usłyszeć z ust kobiety!...

— Damy,—poprawił Grzmicki.

— Przepraszam, damy—z całą naiwnością przyjął poprawkę parafianin.

— Jakto?... więc pan dotychczas nigdy nie słyszałeś tego słowa? — zagadnął gość paryski, przyglądając się towarzyszowi, jakby jakiemu wykopalisku z czasów przedpotopowych.

— Niestety, panie, nigdy—odpowiedział Rzepski z żałością—ja, proszę pana, jestem sobie taki sierota: Matkę straciłem bardzo młodo, sióstr nie miałem, więc od nich słyszeć nie mogłem.

— Ech! proszę pana—przerwał z pewną niecierpliwością Grzmicki—matka i siostry się nie liczą... Kochanki zatem nie miałeś pan żadnej?...

Rzepski znowu westchnął głęboko i tym razem całkowicie.

— Czy mogę być szczerym z panem?—zapytał.

— Czemużby nie, proszę pana?—wzruszył ramionami paryżanin—jesteśmy przecież mężczyźni, a pomiędzy mężczyznami nie robi się sekretu z takich rzeczy.

— Więc skoro pan pozwala, to powiem... Kochanek miałem... kilka...

— A! widzisz pan!—uśmiechnął się Grzmicki—skoroś je miał, toś przecie musiał słyszeć od nich słówka miłosne.

— Nie, proszę pana, nie—odrzekł tonem stanowczym ,,gromon"—skądżeby one wiedzieć mogły, że ja je kochałem?...

Paryżanin aż się trochę odsunął od parafianina.

— Nie, to niepodobieństwo — pomyślał — zwyczajny wieśniak podolski gra przede mną komedyę, a ja mu się daję durzyć bezkarnie!

Przyjrzał się raz jeszcze twarzy Rzepskiego i przyznać musiał, że jeżeli to była komedya, to ,,gromon" odgrywał ją po mistrzowsku.

— Przepraszam pana—zagadnął szybko, z widoczniejszą niż poprzednio niecierpliwością—ileż pan masz lat?

— Całkowitych dwadzieścia sześć i na dwudziesty siódmy cztery miesiące—odpowiedział Rzepski.

— Jeżeli tak, to daruj pan, ale w słowa pańskie nie wierzę. Gdzieżbyś się pan w takiej dziewiczej niewinności uchował?...

— Ależ daję panu słowo honoru, że mówię prawdę—zapewnił Emil—cóżbym miał za interes kłamać?... Zresztą mam do pana wiele, bardzo wiele zaufania...

— Dziękuję panu—skinął głową paryżanin—ale jeżeli pan chcesz, ażebym wierzył, to mi opowiedz, jak do tego przyszło...

— Bardzo chętnie, panie, najchętniej. Matka odumarła mnie młodo...

— Sióstr pan nie miałeś...—poddał paryżanin.

— Tak, panie, sióstr nie miałem—powtórzył „gromon"—póki ojciec żył, wiodło się nam dobrze, po jego śmierci zostałem sam i już w szkołach musiałem pracować na siebie. Czyż był czas myśleć o miłości?...

— Przypuśćmy, że nie było. Cóż później?...

— Mimo to, w człowieku krew gorąca—opowiadał dalej Rzepski—i już w szkołach zakochałem się w córce jednego z profesorów. Nie mogłem jednak wyznać jej miłości...

— Dlaczego, panie?...

— Miała narzeczonego, proszę pana.

— *O sancta simplicitas!* —zawołał paryżanin półgłosem.

— Później obejrzałem się po świecie—prawił w dalszym ciągu Rzepski, nie uważając na łaciński wykrzyknik— i nie mogłem znaleźć odpowiedniego zawodu... Żyłem z przepisywania, a w Złoczowie niewielki z tego zarobek. Wtedy zakochałem się znowu.

— No, tej przecie mogłeś pan powiedzieć, że ją kochasz...

— Gdzież tam, panie!... nie miałem utrzymania...

— Szczególny z pana człowiek!...—wzruszył ramionami Grzmicki.

— Potem—spowiadał się dalej parafianin—zaszła w mym losie niespodziewana zmiana. Miałem już lat dwadzieścia dwa, gdy memu stryjowi, człowiekowi zamożnemu, umarł syn jedynak. Wtedy stryj przypomniał sobie o mnie i powiedział mi, żebym się wykształcił na rolnika, to mi kiedyś zapisze swoją wioskę. Oddał mnie do Dublan,

skończyłem tę szkołę i teraz jestem w Narajówce na praktyce...

— Ach!—teraz rozumiem—rzekł paryżanin.—Kajetan, wspominając o panu, nazwał pana „gromonem" i nie mogłem odgadnąć, że to znaczy agronom. I od tego czasu nie zakochałeś się pan wcale?...

— Owszem, panie... kochałem i kocham, ale ona wiedzieć o tem nie będzie...

— Dlaczego?... teraz przecież mógłbyś się pan odważyć na wyznanie.

— Nie, panie, nigdy, nigdy!... To już taka dola moja nieszczęsna. Nie powiedziałbym jej tego za nic w świecie, bo jest... mężatką!

Paryżanin, nie mogąc już wytrzymać, głośnym śmiechem wybuchnął.

Rzepski nie pojmował tego śmiechu.

— Pan się śmieje? — zagadnął z najnaturalniejszem zdziwieniem.

— Paradny z pana człowiek, doprawdy — odrzekł, zaledwie mogąc mówić, paryżanin — rozmowa o kochaniu jest właśnie najłatwiejsza z mężatką...

— Co pan mówisz?... to przecież nie wypada... — mówił praktykant agronomiczny prawie z przestrachem.

— Dobrze mnie pan mistyfikujesz, panie Rzepski— odpowiedział seryo nasz bohater — ale mnie nie tak łatwo wyprowadzić w pole... Ja wiem więcej, niż pan sądzisz. Wiem, w kim się pan kochasz...

— Przez Boga żywego, skąd?... ja przecież przed nikim nie wspominałem i nigdybym nie wspomniał jej imienia... — zawołał agronom z najżywszym niepokojem.

— Kochasz pan moją wujeneczkę, panią Helenę...

— W imię Ojca i Syna, zaklinam pana, nie wymawiaj tego imienia, nie gub mnie pan, jeśli masz litość — błagał wieśniak, drżąc cały.

— Dajże pan pokój, ktoby znów pana gubił? — uspokoił go Grzmicki — między mężczyznami nie robi się sekretów z takich rzeczy. Ale, że filut z pana, to filut!... Mówisz, że ona o tem nie wie, a masz przy sobie dowód jej wzajemności...

— Ja?... ja mam dowód?... — powtórzył Emil osłupiały.

— Tak jest... nie zapieraj się pan... widziałem wszystko... Wczoraj po herbacie szeptała z panem, a dziś po czarnej kawie wsunęła panu w rękę karteczkę...

Agronom cofnął się tak gwałtownie, że o mało na wznak nie upadł.

— O ja nieszczęśliwy! — zawołał — więc pan sądzisz, że ta karteczka...

— Tak jest, tak sądzę...

— Ależ masz pan ją, patrz i czytaj!

Trzęsąc się z pośpiechu, Emil sięgnął do kieszeni, wydobył z niej pugilares, z pugilaresu kartkę i oddał ją paryżaninowi.

— Masz pan, patrz i czytaj!—powtórzył.

Paryżanin wziął kartkę i przez długą chwilę wpatrywał się w nią ciekawie.

— Kordonku... peli... — rzekł nareszcie — wygląda to na listę sprawunków...

— Bo też to jest lista sprawunków — pośpieszył z wyjaśnieniem Rzepski—pani Horyńska...

— Daj pan pokój — przerwał Grzmicki — my się znamy i na tem... To jest pismo symboliczne...

— Pismo symboliczne, co to takiego?

— Pisze się „kordonek", a czyta się „małżonek", pisze się „pela", a czyta się „Hela", tak właśnie mojej wujeneczce na imię. No, cóż, panie, nie złapałem pana?...

— Nie, panie, ja nigdy nie słyszałem o takiem piśmie...—zaprotestował Rzepski.

— Daruj pan, ale gdyby to był poprostu spis sprawunków, to moja wujenka nie potrzebowałaby go dawać panu w tajemnicy przed mężem... — zauważył paryżanin.

— Właśnie, że w tajemnicy, koniecznie w tajemnicy— wytłómaczył szybko były uczeń szkoły dublańskiej — pani Horyńska robi jakąś robótkę, którą ma ofiarować mężowi w dniu imienin 27-go sierpnia.

— Jakto?... więc tutaj żony nie kupują takich podarków, tylko je robią same?... — zapytał Grzmicki.

— A cóżby za przyjemność miał mąż z rzeczy kupionej, proszę pana? — odpowiedział Emil. — Na imieniny daje się coś zawsze zrobionego własnoręcznie, w sekrecie...

— Patryarchalne obyczaje!—odrzekł paryżanin—ja myślałem, że z czemś podobnem już chyba tylko w dziewiczych lasach Ameryki spotkać się można.

Agronom nie odpowiedział na tę uwagę, a gość z Paryża się zamyślił.

Zbyt długo indagował parafianina, żeby mógł jeszcze posądzać go o nieszczerość, o zręczne odgrywanie wyuczonej roli. Nie! fizyognomia pana Emila nie kłamała, zwierzenia jego i odpowiedzi były prawdziwe. A zatem pani Helena jest wyjątkową, fenomenalną żoną, która, mając dwa razy blizko starszego od siebie męża,

pracuje drobnemi rączętami nad zrobieniem mu niespodzianki, kobietą, która, mając pod ręką młodego, naiwnego jeszcze chłopca, używa go jedynie do robienia sprawunków!...

Zbyt nadzwyczajne były to dla naszego paryżanina zjawiska, aby odrazu mógł je pojąć, aby w nie bez opozycyi uwierzył.

— Panie! — zagadnął znienacka Rzepskiego — powiedzże mi pan, czemu, jeśli idzie o sekret, moja wujenka nie załatwiła sama takich sprawunków?

— Jeździła wczoraj do Tarnopola — odparł bez żadnego namysłu agronom — ale kupiec powiedział, że dopiero dz siaj będzie miał transport ze Lwowa, a dzisiaj bytność pani Wandalskiej nie pozwala wyjeżdżać gospodyni.

Ta odpowiedź prosta i jasna pokonała nareszcie Grzmickiego.

— Jestem pobity — rzekł do siebie — jeżeli wujeneczka uprzyjemnia sobie życie, to z pewnością nie tym „gromonem".

Nie moglibyśmy zaręczyć, czy brzmienie tego ostatniego wyrazu w myśli paryżanina nie było trochę podobne do... gawrona.

X.

Nie mając co dłużej robić w Tarnopolu, po krótkiej przechadzce po mieście, Grzmicki powrócił do Narajówki z naiwnym i dziewiczo-niewinnym agronomem.

W drodze nie śmiał się już z niego i nie wyszydzał, spoglądał nań tylko kiedy niekiedy z tą ciekawością, z jaką się przypatrujemy w ogrodzie zoologicznym pierwszy raz widzianemu zwierzęciu.

W dalszej rozmowie z agronomem nie dotykał miłości. Parafialny prostaczek powiedział o niej obytemu w świecie gościowi tyle nowego, że to starczyło mu za temat do całego szeregu myśli, które się snuły po jego głowie.

— Więc można kochać milcząc i być tem szczęśliwym, jak ten pan Rzepski?... — rozmawiał z sobą w duchu — więc można, jak moja wujeneczka, zamknąć życie w obrębie domowego zacisza i poprzestawać na tej okruszynie szczęścia, jaką los daje człowiekowi sam, z własnej woli, nie kusząc się o to, żeby od niego więcej wytar-

gować lub wycyganić?... Więc wierne Penelopy nie są poetyczną legendą?...

Przyszła na niego chwila poważnego zastanowienia. Nie żartował i nie drwił. W tych sytuacyach niezwykłych, z któremi dopiero na ziemi rodzinnej przyszło mu spotkać się po raz pierwszy, zaczynał postrzegać pewną stronę piękną, chociaż z początku był usposobiony do zwracania uwagi tylko na ich stronę komiczną.

Ale nadsekwański sceptycyzm brał w nim górę chwilami.

— Uwierzyłem w niego — mówił do siebie — być może rzeczywiście, iż jest zdolnym do odegrania roli biblijnego Józefa, wyrywającego się z objęć pięknej kobiety, ale kto wie, czy nie zbyt pośpiesznie zaczynam wierzyć w nią. Całą cnotą wujeneczki jest może tylko to, że natrafiła na wiejskiego gamonia, który nie umie korzystać z nastręczającej się sposobności, który te półsłówka, te sekrety, te karteczki z listą sprawunków przyjmuje w nominalnej wartości, zamiast je brać za to, czem są rzeczywiście... za zaczepki?...

Paryżanin i pan Emil wrócili na wieś wcześnie, jeszcze przed wieczerzą, przy której znowu zebrało się całe towarzystwo, a po wieczerzy pani Wandalska zaproponowała jeszcze przechadzkę po ogrodzie.

Wieczór był śliczny, pomysł przyjęto jednogłośnie i kółko domowe, z trzech par złożone, wyruszyło pomiędzy drzewa i krzewy, pomiędzy które, tak jak dnia poprzedniego, przekradało się miejscami światło pyzatego księżyca.

Paryżanin naturalnie towarzyszył pani Wandalskiej, pani Helena szła z małżonkiem, a Bronisi pozostał

„gromon". W niezbyt szerokich alejach ogrodowych ten podział na pary był koniecznym, wskutek czego niemożebną się stała ogólna rozmowa, a pojedyńcze dwuosobowe grupy znajdowały się raz dalej, drugi raz bliżej siebie i słyszeć się nawzajem nie mogły.

Wiemy już, że nasz paryżanin takiej chwili pragnął od samego przybycia do Narajówki i pierwszego ujrzenia młodej wdowy, której piękne oczy odrazu w jego niezbyt silnie obwarowanem sercu zrobiły wyłom straszliwy.

Efekt pierwszego ujrzenia pani Natalii spotęgował się jeszcze nazajutrz przy stole. Grzmicki nie miał już powodu zarzucać jej, że trochę niekorzystnych barw dobiera do swego stroju. Pani Natalia, ulegając prośbom pani Horyńskiej i spełniając dane jej przyrzeczenie, dała urlop kilkodniowej swej żałobie po nieboszczyku mężu i zdjęła zewnętrzne jej oznaki, z postanowieniem noszenia ich o tyleż dni dłużej po upływie obowiązkowego terminu.

Wyszło jej to bardzo na korzyść. Jeżeli wczoraj była piękną, dziś stała się prawdziwie śliczną.

Zauważył to paryżanin i rozpoczął rozmowę od bardzo zręcznego komplementu, w którym zwrócił uwagę na tę metamorfozę szczęśliwą.

— Och! panie! — odpowiedziała na to wesoła pani Natalia — jeżeli komu ta nagła zmiana we mnie podobać się powinna, to przedewszystkiem panu, inaczej byłbyś pan czarnym niewdzięcznikiem, gdyż trzeba panu wiedzieć, że strój i humor zmieniłam tylko na intencyę pana.

— Powinienbym wnosić z tych słów, że myśl pani

chociaż przez parę chwil była mą osobą zajęta — podchwycił Grzmicki.

— Czegoż się mam zapierać?... przyznaję się do tego szczerze — szczebiotała dalej młoda wdówka — stałeś się pan przedmiotem moich rozmyślań przez... protekcyę.

— Którą zawdzięczam?... — zagadnął paryżanin.

— Pani domu — odpowiedziała pani Natalia. — Gdym tu z nią przyjechała wczoraj, byłam tak posępna, smutna, zbolała, jak tylko może być kobieta, którą los przybrał w wdowie szaty i skazał na osamotnienie. Chciałam tu szukać chwilowej pociechy i Helenka mi ją przyrzekła. Tymczasem, przyjechawszy, dowiadujemy się, że w Narajówce zastałyśmy gościa. Byłabym zaraz powróciła, nie chcąc smutkiem moim zatruwać wesołości innych, ale jak mnie Helenka zaczęła prosić, zgodziłam się na chwilę zapomnieć o moim losie i zrzucić jego powierzchowne godła... Oto jest cała zagadka protekcyi, która pana bohaterem moich myśli zrobiła.

— Proszę pani — rzekł paryżanin — u nas we Francyi, a zapewne i tutaj, jest taki zwyczaj, że chociaż kto nie tytułem zasługi, ale w drodze protekcyi dostanie się na jaką posadę, to ma sobie za punkt honoru ustalić się na niej na zawsze. Jeżeli łaskawa protekcya pani Heleny uczyniła mnie przedmiotem myśli pani na chwilę, to marzeniem i ambicyą moją będzie pozostać nim na długo, a gdyby się dało... na zawsze.

— Dziękuję panu za dobrą opinię o nas kobietach— odparła szybko młoda wdówka — z tego, coś pan powiedział, należy wnosić, że nie jesteś pan z liczby tych, którzy sądzą, iż chcieć zapisać się na zawsze w sercu kobiety,

a wyryć swe nazwisko na powierzchni bieżącej wody, to jedno!

Paryżanin nie takiej oczekiwał odpowiedzi. Spodziewał się prędzej zarzutu zarozumiałości i na replikę był przygotowanym. Pani Wandalska nie myślała jednak odpierać pierwszego, może zbyt natarczywego ataku, jaki do niej przypuszczał, a za to narzuciła mu rolę, w której nie miał zamiaru występować, rolę obrońcy płci słabej przeciwko jednej z jej reprezentantek.

Nie miał wielce ochoty przyjmować tej adwokatury, po chwilowym zatem namyśle zapytał:

— Czem zawiniłem, że mnie pani posądzała, iż mogłem mieć takie wyobrażenie o kobietach?

Słowa te były rodzajem cofnięcia się. Gość z Paryża z pozycyi zaczepnej przechodził w obronną — tłómaczył się.

— Tem tylko, że pan przybywasz z Paryża, a tam takie wyobrażenia podobno są w modzie — odpowiedziała pani Natalia.

— Grzech to mój pierworodny, a raczej drugorodny — odrzekł Grzmicki z uśmiechem — rzeczywiście od lat młodych żyję w Paryżu, i miałbym prawo nawet zapomnieć, że nie tam przyszedłem na świat. Mogłem więc trochę nasiąknąć wyobrażeniami paryskiemi, ale... niczego więcej w życiu nie pragnę, jak sposobności złożenia pani dowodu, że w rzeczach serca nie jestem nawskroś paryżaninem, że jestem stalszym i poważniej pojmującym uczucia, niż bywają zazwyczaj ci, których wychowała nadsekwańska stolica...

Mówił to głosem wypieszczonym, dźwięcznym, trochę niekiedy drżącym, głosem, jakiego używa biegły arty-

sta, odgrywający rolę zakochanego na seryo i pragnący za chwilę wyrazić swoje uczucia.

Pani Wandalska uśmiechnęła się zlekka.

— Ciekawa jestem — wyrzekła z rozkosznie zalotną minką — cobyś mi pan też odpowiedział, gdybym z właściwą nam, Polkom, szczerością żądała panu jedno pytanie...

— Niema nic łatwiejszego, jak zaspokoić tę ciekawość—odpowiedział Grzmicki—niech pani spyta.

— A zatem dobrze—spojrzała na niego dziwnie pani Wandalska—chciej mi pan powiedzieć, dlaczego właśnie mnie pragnąłbyś pan złożyć ów dowód swej stateczności w sprawach, o których mówiłeś, większej niż zwyczajna paryska?..

I to znów było pytanie, którego nie mógł spodziewać się Grzmicki. Zalotna wdówka wzywała go prawie, a jemu, jak się łatwo domyślić, była wcale na rękę ta niespodzianka.

Prędzej, niż mógł obliczaę, znalazł się u celu, krócej niż zwykle czekał na sposobność, na którą polował.

— Czy wolno mi być zupełnie szczerym?—zapytał.

— Dlaczegoż nie, skoro ja szczerą jestem i myśli swoich nie taję?—odpowiedziała pani Natalia, z tą pogodną wesołością, która jeszcze lepiej, niż suknia, świadczyła, że jej żałoba znajdowała się na urlopie.

Paryżanin rzucił okiem przed siebie i za siebie.

Używające przechadzki pary oddaliły się dosyć znacznie jedna od drugiej. Bronisia z „gromonem" już znikali w załomie alei, pana Cezarego z żoną z poza innego załomu widać jeszcze nie było.

Chwila była tak dogodna, że byłoby niezręcznością stracić ją i oczekiwać na drugą podobną.

— Pyta się pani, a odpowiedź leży w samem pytaniu—rzekł Grzmicki z uczuciem.—Powiedziałem, że umiem kochać i że pragnę dać tego dowód, a tego rodzaju dowody mężczyzna zawsze pragnie składać tej tylko, którą kocha... Mówię to pani bez frazesów; kocham panią od pierwszej chwili, jak się oczy nasze spotkały, dowód miłości złożę, jakiego pani zażądasz, a jeżeli go przyjmiesz i uznasz za dostateczny, będzie to szczęściem dla mnie najwyższem i wskazówką, żem pozyskał wzajemność.

Pani Natalia spoważniała nagle, ale tylko na chwilę.

— Panie Grzmicki—rzekła z uśmiechem, który zwolna powracał na piękną jej twarz—nie przypuszczałbyś pan zapewne, że my tu na Podolu tak dobrze znamy paryżan. Byłam pewną tej odpowiedzi...

— Och! pani!—zawołał gość paryski, niebardzo wiedząc co powiedzieć dalej.

— A teraz, skoroś pan powiedział swoje—mówiła młoda wdówka, nie czekając na dokończenie zaczętego przezeń frazesu—kolej odpowiedzieć na mnie. Sprawa jest jednak zanadto poważna, żebym ją zbyć mogła w dwóch słowach. Odpowiem panu szczerze i trochę obszerniej... Może siądziemy...

To mówiąc, wskazała mu ławkę, do której się właśnie zbliżali.

Była to ta sama ławka, na której Grzmicki dnia poprzedniego spotkał rozmarzoną i zadumaną subretkę.

— Miałażby to być wróżba nowej porażki?—przesunęło się nagle przez myśl paryżaninowi—ale nie... pfe!... precz z przesądem!...

Gdyby było można, byłby zapewne, pomimo swej wyższości nad przesądy, fatalną ową ławkę pominął. Niepodobna było jednakże proponować pani Natalii innego miejsca.

Usiedli. Pani Natalia zdawała się najzupełniej spokojną, paryżaninowi serce biło silniej, niż kiedykolwiek w podobnej okazyi.

W tej chwili właśnie państwo Horyńscy ukazali się z poza załomu alei i wolnym krokiem przeszli koło młodej pary, która taką decydującą prowadziła z sobą rozmowę.

Małżeństwo było tak zajęte pogadanką, że nawet nie zwróciło uwagi na paryżanina i młodą wdówkę, a może... któż odgadnie?... może pani Helena widziała coś więcej, ale z dyskrecyą, do której panie zawsze są zdolne, jeżeli ją uważają za potrzebną, nie chciała przeszkadzać zakochanym.

Pani Natalia milczała i dopiero, gdy pan Horyński z żoną znikli im z oczu, mówić zaczęła.

— Mówisz pan, że mnie kochasz—rzekła—i nie myślę udawać, że temu nie wierzę. Tak jest, w tej chwili słowa pana są szczere i szczeremi byłyby zapewne, gdybyś mi je powtórzył jutro, pojutrze, za miesiąc może. Dopiero później, zwolna, zaczęłaby panu spadać z oczu opaska i powoli dostrzegłbyś rzeczywistość. Miłość ta zbyt prędko się objawiła i wynurzyła zbyt nagle, żeby mieć mogła widoki trwałości. A my Polki, jeżeli kochamy, to trwale i na zawsze, więc wolno nam mieć trochę rozwagi, nim oddamy nasze serca. W tem społeczeństwie, które pana wychowało, jest może inaczej. Miłość tam, bardziej zbliżona do starożytnego ideału, jest ślepą, nasza patrzy i bada przyszłość...

— Ależ pani...—chciał zaprotestować Grzmicki.

— Nie przerywaj mi pan—nie dała mu dokończyć młoda wdówka—wyznałeś mi pan miłość, nie pomyślawszy o warunkach naszego wzajemnego położenia.

— O! to pewna!... Uczucie, jakie pani we mnie wzbudziłaś, jest wyższem nad wszelkie rachuby, względy, konwenanse...—zawołał z zapałem paryżanin.

— I to właśnie jest dowodem, że ten płomień jak nagle wybuchł, tak prędko może zagasnąć.... Wiekiem jestem panu prawie równa, a to już pierwsza niestosowność, na którą niema ratunku...

— Ach! pani — zaprotestował Grzmicki prawie ze zgrozą—czyliż, nim pozwolimy odezwać się sercu, mamy wprzód zaglądać do aktów stanu cywilnego, a może i do hypoteki?... Mojem zdaniem, małżeństwo konwenansowe i prawdziwa miłość to dwa zupełnie odrębne pojęcia, z których jedno nie wyklucza drugiego...

Żywy rumieniec powlókł twarz pani Natalii.

Przez chwilę zdawało się, że wstanie i odejdzie, widocznie walczyła z sobą.

Przekonała się jednak i została.

Paryżanin z pełnem niepokoju zajęciem śledził grę jej fizyognomii i usiłował odgadnąć przebieg walki wewnętrznej, której się domyślał.

— Znam tę teoryę z... teoryi—odrzekła z zupełnym już prawie spokojem młoda wdowa —i ręczę panu, że u nas nie znajdziesz pan jej zwolenniczek, chyba pomiędzy kobietami, o których wątpię czyby pana zająć sobą umiały. Więc skończmy o tem. Miłości, którą pan mi ofiarujesz, podzielać i odwzajemniać nie mogę. Na obu drogach, które mi wskazujesz, nie przyniosłaby nam obojgu tego, o czem

marzymy, i prędzej lub później musiałaby nam zatruć życie. A przecież... należy nam się jeszcze trochę szczęścia na tym świecie. Nieprawdaż, panie?... I gdybyśmy go poszukali, możeby się ono niebardzo daleko od nas znalazło...

To mówiąc, młoda wdowa spojrzała w tę stronę alei, skąd niedawno wyszli państwo Horyńscy, jak gdyby stamtąd oczekiwała ukazania się kogoś, co miał potwierdzić jej słowa.

Nikt się jednakże nie ukazywał.

Paryżanin patrzał na nią zdumiony, nie mogąc jej pojąć. Piękna, młoda kobieta, która, po usłyszeniu wyznania miłości, przemawiała głosem spokojnej rozwagi i rozsądku, była dla niego niepojętem zjawiskiem. Nigdy jeszcze nie słyszał tak przemawiającej żadnej z tych licznych, którym podobne składał wyznania. Zawsze zmysły przemawiały do zmysłów, biły serca i wrzała krew, lecz chłodna rozwaga milczała.

— To tylko dowód, że mi nie dano być Pygmalionem, któryby umiał tchnąć płomień życia w kamienne piersi Galatei...—rzekł smutny i upokorzony.

— Frazes, panie—uśmiechnęła się lekko pani Natalia—i my Polki mamy krew w żyłach, są jednak święte dla nas hasła, których potęgą panujemy nad sobą... Ale spójrz pan na lewo...

Paryżanin spojrzał... Z załomu alei ukazała się Bronisia w towarzystwie agronoma.

W tej chwili pani Natalia nachyliła się ku Grzmickiemu zlekka i prawie do ucha mu szepnęła:

— Czyś też pan zauważył, jakie to śliczne dziecko? Nieprawdaż?...

Bronisia dostrzegła ten ruch młodej wdowy i pobladła...

Zaczęła o czemś bardzo żywo rozmawiać z panem Emilem i gorączkowo przyśpieszyła kroku, tak, że i „gromon" musiał pójść nieco prędzej, ażeby nie pozostać w tyle.

Przeszła koło siedzących na ławce, jak gdyby ich nie widziała, i wkrótce znikła z Rzepskim w dalszym zakręcie ogrodowej ścieżki.

— Piękna?... nieprawdaż?...—wdówka powtórnie zagadnęła paryżanina.

— Dlaczego pani pytasz mnie o to?—zapytał Grzmicki, nie odgadując, do czego zmierzać mogło pytanie.

— Tak sobie...—wzruszyła ramionami pani Wandalska — pójdźmy za nimi. Układ między nami zawarty. Nie będziesz mi pan więcej mówił o miłości i zostaniemy przyjaciółmi.

Podała mu rękę, którą on przycisnął do ust w milczeniu...

Szli przez czas jakiś dalej, nie mówiąc ani słowa do siebie.

Ze strony pani Natalii było to milczenie obrachowane. Pragnęła pozostawić czas, ażeby wrażenie, jakie wywrzeć chciała swoją rozmową, ułożyło się w umyśle paryżanina i wywarło skutek pożądany.

W tym celu także nie pozostała z nim dłużej na ławce. W dalszej przechadzce co kilka lub kilkanaście kroków wyłaniała się z poza rozłożystych drzew ogrodu postać idącej naprzód Bronisi...

Paryżanin jednak nie był zajęty siostrzenicą państwa Horyńskich.

Ważył on w głowie i rozbierał wszystkie okoliczności,

które towarzyszyły ponownej porażce, jakiej doznał przed chwilą, i dochodził do wniosków, których pani Natalia ani przewidzieć, ani domyślić się nie mogła.

— Sprytna wdówka—mówił do siebie—nie idzie w ślady Temistoklesa i nie pali za sobą okrętów. Ta przyjaźń, z którą mi się ofiarowała, nie jest bez znaczenia. Jest to most, po którym z czasem będzie można przejść do fortecy. Klęska, jaką mi zadała, nie jest niepowetowaną. Odpowiedź, którą usłyszałem, daje mi tylko do zrozumienia, że nie oddałaby mi ręki. Niech tak będzie i owszem... nie miałem wcale ochoty wprzęgać się w słodkie jarzmo... na to przecież zawsze czas jeszcze. I w tym celu wskazała mi młode, naiwne, niedoświadczone dziecko. Rozumiemy wybornie tę wskazówkę... Chcesz się żenić, to się żeń z nią *et soyons amis, Cynna.* To *soyons amis* więcej warte, niż wszystko. Tłómaczy się mniej więcej tak: ,,Pragnąłbyś mnie posiąść odrazu, ale ja za drogo się cenię... powzdychaj dłużej!" Ha!... jeśli o to idzie, będziemy wzdychali!...

Naturalnie cały ten łańcuch uwag i wniosków nie snuł się w myśli paryżanina tak długo, jak potrzebowaliśmy go powtarzać. Niech co chcą mówią eksperymentatorzy, którzy szybkość myśli ludzkiej na metry i sekundy zmierzyli, mózg człowieka jest aparatem, który w wyjątkowych chwilach z nadzwyczajnym umie funkcyonować pośpiechem. Była to taka chwila dla Grzmickiego, i refleksye, które zapisaliśmy, nie przeszły przez jego głowę, lecz prześliznęły się galopadą, której *tempo* było prawie szalone.

W miarę szybkiego ich przebiegu rozjaśniała się jego twarz, rozpogadzało czoło i powracała pewność siebie.

Był przyjacielem, a więc posunął się w swym pochodzie zdobywczym o znakomity krok dalej. Na pierwszy atak i tego było dosyć. Porażka była niebezpieczną nie dla pokonanego, lecz dla tej, która odniosła zwycięstwo.

I rozpoczął znowu rozmowę, poważniejszą niż zwykle, lecz swobodną, ze swoją towarzyszką, a biedna Bronisia, na którą pani Wandalska, z tak niezwykłem u kobiet zaparciem się, zwróciła jego uwagę, była w tej chwili dalszą od jego myśli niż kiedykowleiek.

Nazwaliśmy ją ,,biedną" i mieliśmy do tego powód.

Na widok pani Wandalskiej, pochylającej się do ucha kuzynka z Paryża i szepcącej mu coś poufnie, młode dziewczę doznało wrażenia, z którego nie umiało sobie zdać sprawy.

Wrażenie to było przykre, bolesne, przejmujące.

Rozmawiała z agronomem i siliła się nawet rozmawiać prędko, żywo, wesoło, ale słowa z taką trudnością wychodziły z jej piersi, jakiej nie doświadczała nigdy; przyśpieszyła kroku, ale nie była pewną swojego chodu; dostała nagle ataku jakiejś gorączki, do której nie chciałaby się przyznać nawet przed sobą. Nic się niby rażącego nie stało, a jednak czuła, że zaszło coś takiego, co się stać nie było powinno. Nie wznosiła w swej młodej wyobraźni żadnych fantastycznych budynków, a jednak doznawała uczucia smutku, jakby na widok rozpadającej się w gruzy jakiejś bardzo pięknej budowy swoich marzeń.

Gdyby jej kto zapytał, co jej jest, nie odpowiedziałaby

nic, chociażby najszczerzej chciała być szczerą, bo to, co się w niej działo, było dla niej czemś nieokreślonem, nieodgadnionem, nieujętem.

Nikt jej jednak o nic nie pytał. Towarzyszący jej agronom ulokował swoje serce gdzieindziej, zbyt był w stosunkach z kobietami niedoświadczony i za mało wrażliwy, ażeby mógł dostrzedz zaszłą w niej zmianę.

Niewiadomo dlaczego, może dla wypróbowania samej siebie, dla doświadczenia własnego hartu, Bronisia tak skierowała przechadzkę, że wkrótce przechodzić musieli koło tej ławki, na której przedtem zobaczyła kuzynka z panią Natalią.

Nie było tam już nikogo, ale to nie sprawiło młodemu dziewczęciu żadnej ulgi. Owszem wrażenie doznane stało się jeszcze silniejszem. Nie miała już siły mówić, ani iść dalej.

— Siądźmy i my — rzekła zcicha do agronoma.

Siedzieli przez dość długą chwilę. Rzepski coś prawił o pięknym dniu, o miłym cieniu, o rozkosznem powietrzu...

Bronisia słuchała go niby z uwagą, ale nie słyszała ani słowa.

Wreszcie w załomie alei ukazali się państwo Horyńscy, do których już przyłączyła się pani Wandalska z paryżaninem.

Na widok tej grupy Bronisia cokolwiek lżej odetchnęła. Ciężar ów niepojęty, który zdawał się ją tłoczyć, przestał być tak dolegliwym.

Mimo to, wieczorem, gdy towarzystwo zebrało się

przy stole, miejsce siostrzenicy pani Horyńskiej pozostało niezajęte.

— A cóż Bronisia? — zapytał pan Cezary.

— Powiedziała, że ją boli głowa — odrzekła pani Helena.

Paryżanin, rozmawiający ciągle z panią Wandalską, nie dosłyszał nawet tego pytania i odpowiedzi.

XI.

Narajówka, jak wiemy, była bardzo dobrze zagospodarowaną posiadłością, w dziale męskim dzięki zamiłowaniu i pilności, z jaką pan Cezary oddawał się właściwym rolnikowi zajęciom, a w dziale kobiecym dzięki niewidzialnej, a wszędzie obecnej i niezmordowanej „Klatkosi", która zabiegliwością swoją i skrzętnością wyrobiła pani Horyńskiej firmę znakomitej gospodyni. W najlepiej jednak urządzonym domu wiejskim wigilia liczniejszego zjazdu gości, chociażby tylko najbliższych sąsiadów i najlepszych przyjaciół, przypominać musi troszkę dzień sądny. Najwięcej przytem do czynienia mają zawsze panie, przed któremi oprócz gospodarskich stają jeszcze niemniej żywotne kwestye tualety, nic też dziwnego, że nazajutrz po opisanej przechadzce nasz paryżanin mniej jeszcze, niż innych dni, miał sposobności do przebywania z niemi i byłby się porządnie znudził, gdyby pan Cezary nie wziął na siebie misyi uprzyjemniania mu pobytu i nie wywiązał się z niej jako tako.

Przy obiedzie p. Wandalska więcej rozmawiała

z panią Heleną, niż ze swym „przyjacielem" od wczoraj. Paryżanin tym sposobem był niejako zmuszony bardziej pamiętać o swej sąsiadce, pannie Bronisławie, której ból głowy przeszedł, ale pozostała po nim niezwykła bladość i powaga.

Bladym i poważnym bardziej, niż zawsze, a małomównym tak, jak zawsze, był także przy stole „gromon". Wyglądał on jak człowiek, który waży w swej myśli jakieś wielkie postanowienie i waha się, czy ma zrobić krok decydujący o przyszłości. Oplątała go jakaś *idée fixe* i czyniła roztargnionym prawie do śmieszności. Na paryżanina nie mógł spojrzeć bez pomieszania, a na panią Horyńską — bóstwo swych marzeń — wcale patrzeć nie miał odwagi i z wielką starannością unikał jej wzroku.

Grzmicki zauważył te zmiany i w kuzynce i w agronomie. Znał tajemnicę serca Emila, więc jego pomieszanie nie wydawało mu się dziwnem, ale co mogło wpłynąć tak nagle na usposobienie wesołej przedtem i żywej Bronisi, tego nie mógł sobie inaczej wytłómaczyć, jak zwyczajną swoją metodą.

— Chyba się zakochała piękna kuzynka? — przyszło mu na myśl — młode dziewczęta, gdy się w nich po raz pierwszy serce odezwie, zmieniają się zwykle tak nagle... Wiem to z wielu obserwacyi dawniejszych... Ale w kimby się mogła zakochać prawie na poczekaniu?... Nikogo obcego nie było, a „gromon" nie jest z takich, którzy podbijają młode serduszka...

Na to pytanie odpowiedzi nie miał i to go właśnie korciło. Zaczął pilnie obserwować kuzynkę...

Gdyby był nasz paryski bohater, czyniąc te obser-

wacye, oglądał się także za siebie, byłby może zauważył kogoś trzeciego, który także od dnia poprzedniego zmienił się bardzo.

Był to ex-żołnierz meksykański, usługujący do stołu.

I jemu także, jak „gromonowi", jakaś *idée fixe* zajechała do głowy.

Pełnił swą służbę mniej zręcznie niż kiedykolwiek i od czasu do czasu coś z sobą pod nosem mruczał.

Z tych jego mruczeń, gdyby je podsłuchać, dałyby się złożyć wyrazy:

— Widziało się dosyć kobiet, i Morawianki w Hołomuńcu, i Meksykanki, i Francuzki, no, ale takiej nie...

A niekiedy Kajetan zamyślał się po francusku i powtarzał półgłosem:

— *Si je savais ... si je savais...*

Nikt jednak nie zwracał uwagi na te zadumy wojaka, który walczył w dwóch armiach, a najmniej niezawodnie nasz bohater.

Bo i w nim samym, pod wpływem pobytu w Narajówce, zaszła jakaś zmiana, której sam dotychczas nie zauważył.

Nie przestał być sobą, ale mimowiednie ulegał wpływowi otoczenia. Był przeniesiony pomiędzy kobiety z innego ulepione materyału, niż te, które widywał dotąd. On, dotychczas dzielny pływak po lekko i rozkosznie kołyszących się falach powierzchownej, zmysłowej miłości, tu tracił grunt pod nogami. I przez to właśnie ten świat kobiecy nowy zaciekawiał go i pociągał, przez to właśnie poczuwał tem większą potrzebę kochania i bycia kochanym tam, gdzie miłość przedstawiała mu się

w jakiemś innem, świeżem, eteryczniejszem i bardziej uroczem świetle.

— Kuzynko — odezwał się nagle do Bronisi w chwili, gdy poważniejsze refleksye odbiegły go i wróciła wesoła paryska pustota — proszę mi powiedzieć, czy i tutaj na Podolu, tak jak u nas w Paryżu, milczenie jest oznaką potwierdzenia?...

— Zdaje mi się, że tak — odpowiedziała Bronisia z lekkim uśmiechem — wujcio czasami mówi... tylko nie wiem, czym dobrze spamiętała... *qui tacet, consentire videtur.*

— A jeżeli ktoś, co lubił mówić dużo i żywo, nagle staje się małomównym, zamyślonym, poważnym — pytał dalej paryżanin — to cóż stwierdza jego milczenie?...

— Nie wiem... — spojrzawszy nań nieśmiało, odrzekło dziewczę — może... może ból głowy...

— A może niepokój serca — dokończył Grzmicki — niepokój, który się nazywa... miłością...

Bronisia spuściła oczy.

— Milczysz, kuzynko?... *qui tacet, consentire videtur* — powtórzył półgłosem młody człowiek — a że w tobie właśnie zaszła ta zmiana, więc mimowolnie podajesz się w podejrzenie...

Kuzynkom z kuzynkami tonem półżartobliwym wolno jest zawsze prowadzić takie rozmowy, nie przywiązując do nich poważnego znaczenia, dla Bronisi jednak ten żart był przykrym.

— Niesłusznie... — odszepnęła z trudnością.

— Przekonamy się o tem jutro — żartował dalej paryżanin — bo „on" tu pewno jutro będzie, a już ja

go z pewnością wynajdę wpośród innych, choćby był szpilką w stogu siana.

Biednemu dziewczęciu serce się ścisnęło. Więc niewdzięczny kuzynek nie domyślał się nawet, że jeśli w owym stogu była naprawdę szpilka, to nie mógł nią być nikt oprócz niego...

Wstąpiła w nią jednak jakaś siła i odwaga.

— O! że kuzynek nie wynajdzie — odpowiedziała z niejakim przyciskiem — o tom się gotowa założyć.

— Przyjmuję zakład i wygram go z pewnością — zawołał z przekonaniem paryżanin.

— Zobaczymy — ze drżeniem w głosie odpowiedziała Bronisia.

Zakład formalny nie stanął, nie było umówionych warunków co jedna strona ma dać drugiej, jeżeli przegra, a jednak Grzmicki czuł się związanym i więcej o nim myślał, niż się myśli zazwyczaj o podobnych przelotnych zobowiązaniach. Stara to i znana historya. Dla mężczyzny mają szczególny urok podobne „droczenia się" z młodem a ładnem dziewczęciem. Kawaler zakochany w innej, mężczyzna żonaty, nie myślący o żadnej pochości, podżyły wdowiec, nie mający pretensyi do motylkowania koło młodych serduszek, a nawet sędziwy dziaduś z siwym jak mleko włosem, nie mogą się oprzeć urokowi tej niewinnej igraszki.

Gdyby zresztą nawet rozmowa z Bronisią miała za chwilę ulecieć z myśli i pamięci paryżanina, byłaby mu ją wkrótce z naciskiem przypomniała pani Wandalska, która pomimo żywej pogadanki, jaką prowadziła z gospodynią domu, znalazła jeszcze balladowe pół oka i pół

uszka do podpatrzenia i podsłuchania rozmowy młodej pary sąsiadów, którzy się nie umieli zrozumieć.

Pani Natalia skorzystała po obiedzie z krótkiego czasu, który na pogadankę pozostał, i gdy paryżanin zbliżył się do niej, zagadnęła go tak zręcznie, że nikt z obecnych nie mógł słyszeć rozmowy.

— Podjąłeś się pan bardzo trudnego zadania, nieprawdaż?

— Jakiego, proszę pani? — zapytał Grzmicki, nie domyślając się do czego zapytanie zmierza.

— Wyśledzić tajemnicę młodego serca...

— Ach! więc pani słyszała?

— Nic w tem dziwnego... kobiety i ściany słyszą wszystko...

— Dlaczego jednak pani to zadanie nazywa trudnem?... Czyż może być co łatwiejszego nad odgadnięcie mowy serca, które z całą szczerotą przemawia po raz pierwszy i chociażby się chciało taić, nie może, bo nie umie?..

— Trudnem jest, jak dla kogo... — odparła młoda wdówka — pan naprzykład jesteś jeszcze o sto mil od rozwiązania zagadki, a my, kobiety, mamy wzrok bystrzejszy i dostrzegłyśmy ją zaraz...

— Za pozwoleniem — zaprostesował Grzmicki — bawię tu dwa dni dopiero...

— Mimo to — przerwała pani Natalia — zapewniam pana, że nie byłeś w gorszych od nas warunkach do obesrwowania, tylko że nie umiałeś obserwować...

— Niech mi pani raczy wybaczyć porównanie nienowe — odpowiedział paryżanin — byłem jak ów astronom, który nie mógł się zajmować obserwowaniem gwiazdy, dlatego że ją słońce blaskiem swoim zaćmiło.

— Dziękuję panu za to usłonecznienie — odrzekła z uśmiechem wdówka — ale, o ile mi się zdaje, bo nie znam się na astronomii, umiejętności obserwowania słońca nabywa się podobno przez pilne wpatrywanie się w gwiazdy...

Grzmicki zamilkł. Czyżby w tych słowach była jaka uraza?... Czyliżby wdówka gniewała się na niego o to, że, rozmawiając z Bronisią, nawet w tak niewinny sposób o serdeczną strunę potrącił?...

Takby koniecznie należało wnosić, sądząc po parysku, ale narajowieckie panie tak były do paryżanek niepodobne, że bohater nasz nie śmiał już z całą ufnością polegać na swojem doświadczeniu paryskiem.

Sposobności do dalszej rozmowy już nie było. Pani Natalia nie chciała jej widocznie, bo zaraz bardzo zręcznie na inny przedmiot skierowała pogadankę i całe towarzystwo do niej wprowadziła.

Wkrótce potem zebranie obiadowe rozeszło się i paryżanin sam pozostał z swemi myślami, z zagadką serdeczną Bronisi, ze sfinksowemi słowy pani Natalii.

Poszedł do siebie i, wypoczywając po obiedzie, przy cygarze, rozmyślał o różnicy pomiędzy podolankami a paryżankami.

Sformułować tej różnicy nie umiał jeszcze, czuł ją tylko, ale dotąd nie mógł z niej sobie zdać sprawy.

Kilka cichych zapukań do drzwi przerwało jego zadumę.

— Proszę wejść! — rzekł, podnosząc się z kanapy.

Na progu ukazał się „gromon".

Postać jego była nie tragiczną wprawdzie jeszcze, ale dramatyczną bardzo. Był poważny, uroczysty, wes-

tchnienia wydawał pełne, trzymał się prosto, postępował krokami miarowymi.

Grzmicki poprosił go siedzieć i podał mu cygarniczkę, którą ,,gromon" lekkiem skinieniem ręki odsunął.

— Panie — rzekł, zająwszy miejsce — powiedziałem już panu wczoraj, że mam do pana wiele, wiele zaufania.

— Cieszę się bardzo, że je wzbudzić umiałem — odpowiedział grzecznie Grzmicki, panując zupełnie nad sobą, chociaż uroczysta powaga ,,gromona" budziła w nim wesołość — i będę się starał na nie zasłużyć.

— Zaufanie to — mówił dalej Rzepski — posunąłem tak daleko, żem się nie zaparł i nie wyprzysiągł tajemnicy mojego serca, którą pan zręcznie podchwyciłeś.

— Wierzaj mi pan — odpowiedział Grzmicki — że próżnobyś się wypierał i wyprzysięgał, oraz że dyskrecya moja...

— Jestem jej pewny — przerwał agronom.

Milczał przez chwilę. Paryżanin czekał, co dalej będzie.

Emil odetchnął kilka razy i zaczął znowu.

— Zostawszy panem mojej tajemnicy — rzekł — byłeś pan łaskaw dać mi kilka uwag i rad o obchodzeniu się z kobietami. Czy je pan pamięta?...

— Pamiętam i, jeżeli panu idzie o to, mogę powtórzyć.

— To zbyteczne, panie. Pozwól mi pan tylko zapytać, czy mam te rady pańskie uważać za żart, czy brać seryo?—zapytał wieśniak uroczyście.

Grzmickiemu coraz trudniejszem się stawało panowanie nad sobą. Śmiech go porywał.

— To zależy od uznania pańskiego — odpowiedział— ja tylko zaręczyć mogę, że te uwagi były wynikiem długich moich doświadczeń i że, gdym je uczynił, nie myślałem żartować.

Gromon powstał, wypowiedział uroczyste ,,dziękuję panu!" westchnął, uścisnął silnie dłoń Grzmickiego i, nie mówiąc więcej ani słowa, wyszedł.

Grzmicki po wyjściu agronoma roześmiał się serdecznie.

— Otóż mam przykład, jak teorye, które na szerszym świecie oddawna się rozwinęły i stały własnością ogólną, z trudnością się przyjmują na dziewiczym gruncie mózgów podolskich — mówił do siebie. — Cóż to za nieoceniona, prawdziwie parawanowa figura z tego fenomenalnego młodzieńca!...

Śmiał się jeszcze, gdy w pokoju pojawił się Kajetan.

Były żołnierz nie umiałby powiedzieć, po co przyszedł. Zakręcił się i zaczął coś niby porządkować i poprawiać. Jakieś krzesło przypadkiem posunięte postawił na swojem miejscu, podniósł w oknie roletę, na którą już blask słoneczny nie padał, a od czasu do czasu pomrukiwał pod nosem:

— *Si je savais... si je savais...*

Bohatera naszego bawiła wogóle postać byłego wojaka, zwrócił więc uwagę na ten stereotypowy urywany monolog.

— I cóż to byś tak chciał wiedzieć, Kajetanie?...

— Ech! proszę pana — odpowiedział były żołnierz— chciałoby się wiedzieć, to prawda, ale wie się z góry, że to tylko sam dyabeł wiedzieć może.

— Tylko sam dyabeł... no, to jakaś dziwna zagadka — roześmiał się paryżanin.

— A bo tak, proszę łaski pana — rzekł urażony trochę tym śmiechem Kajetan — człowiekowi to się w głowie nie pomieści, chociaż się w świecie bywało, żeby prosta dziewczyna, ot tak, ni z tego ni z owego, zaczęła gadać po francusku... *si je savais... si je savais...*

— Z kimże się to stał taki cud? — zapytał Grzmicki.

— A to ta pokojówka, jaśnie panie, Zuzia — odpowiedział ex-wojak — skąd to na nią przyszło, tego się nie wie, ani się to uczyło, ani co, i paple tak, jak człowiek, co we Francyi lata przesiedział...

— Więc ty nic dotąd nie wiedziałeś, że ona posiada ten język?

— Skąd się miało wiedzieć, proszę łaski pana — przyszło to na nią ot tak, jak dopuszczenie boskie, jak choroba, przez jedną noc.

— Ej! Kajetanku, figlarzu! — pogroził mu Grzmicki — dyabeł nie śpi... przyznaj-no się, czy to nie ty byłeś nauczycielem ładnej Zuzi?...

— Ja, proszę łaski pana, a to jakim sposobem?...— zapytał zdziwiony ex-wojak.

— Sam o tem nie wiedziałeś — tłómaczył paryżanin — spodobałeś się dziewczynie i dla miłości twojej, wiedząc, że byłeś w Paryżu i mówisz po francusku, nauczyła się pokryjomu tego języka.

Kajetanowi aż się w oczach zaświeciło na te słowa.

— Dla mojej miłości? — powtórzył — proszę łaski pana, czy ona panu to powiedziała?

— Nie mówiła mi tego — uśmiechnął się gość z Paryża — ale to rzecz jasna... dla kogoż innego mogłaby to zrobić, jeżeli nie dla ciebie?...

— To się wie, iż tak krzywo na mnie nie patrzy — skinął głową z zadowoleniem pochlebiony w miłości własnej Kajetan — ale zawsze, proszę łaski pana, nie tak to się łatwo wyrozumie dziewczynę, i gdyby to się dało na pewno...

— Chcesz się dowiedzieć, więc dobrze... Przyślij mi ją tutaj, a ja się spytam.

Służbisty Kajetan zwrócił się ku drzwiom, ale zatrzymał się, nim do nich doszedł. Przez chwilę zastanawiał się i brał coś na rozum.

— Ech! proszę łaski pana, to się tak nie zrobi—rzekł nagle, machnąwszy ręką — niech będzie bez urazy pańskiej, ale już jej się człowiek sam o to zapyta.

— Masz słuszność, Kajetanie, masz słuszność — przyznał paryżanin — w takich sprawach najlepiej obywać się bez zastępców.

Były wojak po tej rozmowie wyszedł, niemniej podobno wzruszony, jak Emil Rzepski.

A Paryżanin, popatrzywszy chwilę za nim, rzekł do siebie:

— Awansuję! mogę sobie przyznać, że awansuję!... Zostałem powiernikiem „gromona", pani Natalia mianowała mnie przyjacielem", kuzynka powierzyła mi poszukiwanie swego ideału, a w tej chwili wyszedłem na pośrednika w romansie Kajetana z Zuzią! Ról rozmaitych aż zanadto, tylko że ani jednej pierwszorzędnej. Trzeba jeszcze, dla kompletu, żebym podpatrzył jaką słabostkę romansową wujaszka i żebym wujeneczce...

W tem miejscu nagle zerwał się tok jego myśli.

Podniósł się szybko z kanapy i, uderzając się ręką w czoło, zawołał:

— Teraz dopiero zrozumiałem, po co ten „gromon" przychodził tu do mnie przed kwadransem... Mógłbym się założyć, że, na mocy moich nauk, złoży u stóp wujenki formalne wyznanie swoich tkliwych sentymentów. Zostałem zatem redaktorem odpowiedzialnym cudzego romansu, a sam, przez trzy dni pobytu, żadnego na seryo zawiązać nie potrafiłem... Z Zuzią nie powiodło mi się poprostu, z wdówką rzecz się przeniosła na dalekie plany... A! gdyby moi przyjaciele paryscy widzieli mnie w tej sytuacyi, tożby sobie dopiero żartowali ze mnie! Pfe, nie kontent jestem z siebie i mam zaszczyt sobie wyrazić swoje najzupełniejsze niezadowolenie, a jeżeli jutro na zabawie papiery moje nie pójdą w górę, to będę mógł skwitować z mojej dotychczasowej reputacyi...

XII.

Już od południa nazajutrz rozpoczął się zjazd gości do Narajówki.

Państwo Horyńscy znani byli w okolicy z gościnności, każdy też chętnie śpieszył do ich domu, pewien serdecznego przyjęcia, oraz wesołej, ożywionej zabawy.

Dla paryżanina zjazd ten był czemś zupełnie nowem i oryginalnem. Obserwował on różnicę pomiędzy gościnnością francuską a naszą poczciwą staropolską i porównanie wypadało na korzyść Podola. Nic w Narajówce nie było obliczonem na olśnienie wystawą, wszystko przygotowane dla przyjęcia gości szczerem sercem i tem, na co pozwalał dostatek. Na parafiach u nas jeszcze bywają takie przyjęcia, w większych miastach już wyszły z mody i bardziej zbliżyły się do zagranicznych. Zmniejszyła się serdeczność a wzrósł popis, przechodzący często zamożność.

Przez ciąg kilkodniowego pobytu w domu wujostwa, Grzmicki już przestał się czuć gościem, zaczął należeć do rodziny i z całą ochoczością brał udział w przyj-

mowaniu, zabawianiu i rozmieszczaniu nadjeżdżających gości.

Pełniąc ten rodzaj wice-gospodarskich obowiązków, nie zapomniał o łamigłówce, którą mu zadała Bronisia i o której rozwiązanie natarła na niego pani Wandalska. Szukał pilnie owej szpilki w stogu siana, pewny, że na pierwszy rzut oka ideał młodej parafianki rozpozna.

Zjechało się dosyć liczne kółko sąsiednich obywateli, ludzie przeważnie żonaci, niektórzy z dorosłymi synami. Grzmicki powiedział sobie z góry, że wśród tego młodego pokolenia, wśród kwiatu i nadziei obywatelstwa, a nie pomiędzy gośćmi z miasta, których także pewna liczba do Narajówki zawitała, wypada mu szukać rozwiązania zagadki. Gdyby Bronisia była o parę lat starsza, szukałby jej ideału pomiędzy ludźmi, którzy już zajęli samoistną pozycyę i mieli pewien głos w obywatelstwie, młodziutkiej jednak kuzynki swojej nie posądzał o to, żeby przedmiotowi swych marzeń nadać mogła poważniejszą postać, główną zatem uwagę zwracał na powierzchowne zalety poszukiwanego ideału.

Pod tym względem szczególniej wpadł mu w oko pan Eugeniusz Leliwa-Założyński, pospolicie w okolicy zwany „Geniem", lub „pięknym Geniem", jedyny syn i pociecha owdowiałej pani Herminy Leliwa-Założyńskiej z Dydyniec, bogatej i wysoko ceniącej swoje arystokratyczne koneksye dziedziczki.

Piękny Genio zasługiwał rzeczywiście na ten przydomek, może nawet za bardzo...

Był to jasnowłosy młodzieniec, chudziutki i gładziutki, o miękkich, delikatnych rysach, którym pod względem malarskim nic zarzucić nie było można, o bujnych włosach, z pewnem malowniczem i eleganckiem zaniedbaniem odrzucanych na tył głowy, odznaczający się ową oryginalnością w ubraniu, na którą się pozwala tylko talentom...

Miał też Genio talentów tyle, że ich sława na całą okolicę była głośną. Wiadomem było, że pisał obszerny poemat, z którego tylko małe ustępy, nie dające wyobrażenia o całości, znane były niektórym uprzywilejowanym śmiertelnikom. Opowiadano o nim, że sprowadza z zagranicy wielkie płótno, na którem ma zamiar wymalować obraz treści fantastycznej. Głoszono przytem, że w wolnych chwilach pisze partycyę do opery à la Wagner, do której libretto sam tworzy, w miarę natchnienia.

Obiecujący ten młody człowiek, poeta, malarz i muzyk w jednej osobie, wydał się paryżaninowi perłą okolicy, która przed wszystkimi miała prawo zawrócić niedoświadczoną główkę Bronisi.

—Jeżeli nie ten, to moja kuzynka jest fenomenem pomiędzy kandydatkami na kobiety — mówił do siebie.

Nie chcąc się pomylić, starał się zbliżyć z Geniem zaraz po jego przyjeździe i stanąć na stopie tej poufałości przyjacielskiej, która między młodymi ludźmi zawiązuje się dosyć łatwo.

Geniowi pochlebiła ta uprzejmość paryżanina. Gość paryski, postać nowa i niezwykła w okolicy, skupiająca na sobie uwagę i zajęcie wszystkich, zbliżając się do niego, składał faktyczny dowód uznania dla jego talentów, które nie miały jeszcze czasu objawić się w całej pełni, w które wierzono powszechnie, o których potędze jednakże nikt się dotychczas nie miał sposobności przekonać.

Uprzejmy paryżanin umiał też zręcznie wtrącić do

rozmowy, że słyszał o wielostronnem uzdolnieniu młodego trój-wieszcza, a tem podbił go i pozyskał sobie do reszty.

Po takiem utorowaniu sobie drogi, nietrudno już było Grzmickiemu zakraść się w zaufanie poety, malarza i muzyka w jednej osobie.

Trójwieszcz, zagadnięty przez paryżanina w niewyczerpanej kwestyi kobiet i miłości, prędko się zdradził, że na punkcie kochania był jeszcze młodzieńcem bujnej wyobraźni, pływającym w eterach i jeżeli Bronisia jemu oddała swoje młodociane serduszko, to miłość jej była skazaną na wywalczenie sobie wzajemności.

— Ba... ależ tacy eteryczni i kołyszący się pod obłokami poeci najłatwiej, nie wiedząc o tem nawet, pozyskują serca młodych, poetycznie na życie patrzących dziewcząteк — zakonkludował nasz bohater.

O zmroku, gdy już oddawna zjechali się wszyscy goście i, doprowadziwszy do porządku tualety, zebrali się na wspólną zabawę w salonie oraz kilku przyległych wielkich pokojach narajowieckiego dworu, otworzyło się dla paryżanina nowe pole do obserwacyi i porównań podolskiej atmosfery balowej z nadsekwańską.

Towarzystwo podzieliło się na części, jak to zazwyczaj bywa w takich razach. Stara gwardya, łysi, o poważnych tuszach i ogorzałych twarzach obywatele, zgromadzili się na wspólną pogawędkę w osobnym pokoju, gdzie gęste krążyły kieliszki i gdzie rozstawiono z urzędu kilka zielonych stolików do niewinnego preferansa i jeszcze niewinniejszego wista.

Ta część towarzystwa, w której obowiązki gospodarza spełniał skrupulatnie pan Cezary, najmniej była interesującą dla paryżanina.

W salonie na kanapach i kozetach rozsiadły się poważne mamy, a młoda część towarzystwa, męska i żeńska, w barwnym chaosie rozsypała się po całym apartamencie, nie zagrzewając długo jednego miejsca, bawiąc się ochoczo i grupując swobodnie.

Pięknych pań i ładnych panien było w zebraniu dosyć, ale w bezstronnym sądzie paryżanina, pierwszeństwo pomiędzy niemi należało się tym, które poznał najdawniej: „przyjaciółce" jego — pani Wandalskiej, wujence — pani Helenie i kuzynce Bronisi. Grzmicki przekonał się przytem, że niekoniecznie trzeba być paryżanką, ażeby umieć się ubierać. Nie umieją tej sztuki Niemki, choć ich ojczyzna z Francyą graniczy, ale Polki nie dadzą się uprzedzić w estetyce i guście tualety swoim nadsekwańskim rywalkom.

Bohater nasz starał się być wszędzie, słyszeć i widzieć wszystko. Z prawdziwie paryską wprawą w zabieraniu znajomości, zapoznał się wkrótce z całą tą młodą częścią towarzystwa, a jako kuzyn gospodarstwa był naturalnym wodzirejem tanecznej części zabawy.

Tańczono bowiem, pomimo lata, w Narajówce i było to dość powszedniem na ziemi podolskiej zjawiskiem.

Napróżno jednak paryżanin zwracał oko i ucho wszędzie, nadaremnie śledził bacznie rozmowy prowadzone w przerwach tańca przez stojące w szeregach kadrylowych pary, nigdzie nie udało mu się podchwycić owych szeptów i półsłówek miłosnych, owego echa romansowych zalecanek, które z pewnością obiłyby się o jego uszy, gdyby zabawa odbywała się w Paryżu.

Za żadną z młodych, pięknych mężatek, których podżyli mężowie siedzieli przy kieliszkach lub kartach, nie uwijał się jak cień nieodstępny seladon, czatujący na jej spojrzenia i polujący na uśmiechy, nikt z nikim nie zamieniał tajemniczych znaków porozumienia, nikt nikogo nie prześladował pogonią powłóczystych spojrzeń, czułych westchnień, a panny z kawalerami prowadziły rozmowę wesołą, dowcipną, żywą, wcale nie taką, jaką się prowadzi, gdy się ma na celu wywołanie sentymentalnych wynurzeń. Żaden też niespokojny mąż lub kochanek zazdrosnym wzrokiem nie śledził domniemanego rywala. Wpośród zebranych gości byli zapewne tacy, co się kochali, ale chyba uczuciem głębszem może i poważniejszem, lecz chłodniejszem, niepotrzebującem w każdej chwili manifestować się gadatliwie, jeśli nie słowem, to ruchem albo spojrzeniem.

Dwa tylko były na tem tle ogólnem niezbyt jaskrawe, lecz dla paryżanina dostrzegalne wyjątki: „gromon", który starał się zawsze być w blizkości pani Horyńskiej i polował na jej skinienia, i „piękny Genio", który w rozmowie z każdą damą, zaszczyconą przez siebie wyborem do tańca, wpadał w uczuciowe, chociaż nie wychodzące ze sfer mglistej abstrakcyi ekstazy.

Najwięcej tego zaszczytu i najobfitsza doza ekstaz dostawała się Bronisi, co jeszcze silniej potwierdzało powzięte przez paryżanina domysły.

Bronisia bynajmniej nie była urażona o to wyróżnienie na młodego Leliwę-Założyńskiego, rozmawiała z nim bardzo uprzejmie, słuchała go z uwagą, słowem nie okazywała tej obojętności, którą kobieta bardzo zręcznie okazywać umie mężczyźnie, obojętnemu dla niej rzeczywiście.

— Och! och! jestem pewny, że nie przegram zakładu z kuzynką — powtórzył w myśli parę razy Grzmicki.

Nie zatrzymywał się jednak długo przy kuzynce i Geniu. Miał także ciągle w pamięci rolę, jaką odgrywał przy pani Wandalskiej, i przypomniał jej parę razy, że jest jej „przyjacielem", który „kocha i milczy". Młoda wdówka umiała jednak za każdym razem takie ataki zbyć jakąś doraźną, zręczną i dowcipną odpowiedzią, i paryżanin skonfundowany *nolens volens* powracał do przerwanych chwilowo obserwacyi, a gdy raz przypadkowo zauważył, że pani Hermina Leliwa-Założyńska, która ciągle wzrokiem śledziła swojego jedynaka, zbliżywszy się do Bronisi, powiedziała do niej z uczuciem: „jakaś ty piękna, moje dziecię", i pocałowała ją w czoło, był już pewnym swego odkrycia i wygranego zakładu.

Zaraz też po odejściu pani Herminy, przystąpił do Bronisi i zagadnął:

— Budzę cię, kuzyneczko...

— W kolorze?... — odpowiedziało, znanym stereotypowym sposobem, młode dziewczę.

— Blond... kolor włosów twego ideału...

— A... kuzynek ma pretensyę do wygrania zakładu... — uśmiechnęła się zlekka, poważniejąc trochę Bronisia—i któż to taki?...

Paryżanin nachylił się do jej uszka.

— Piękny Genio!...—szepnął.

Zupełna powaga powróciła na twarz Bronisi, rumieniec jej znikać zaczynał.

— Nie trafiłeś, kuzynku — odpowiedziała, siląc się

na ton swobodny — szare jaskółki nie kochają się w orłach królewskich. One tuż nad powierzchnią stawu łapią drobne muszki, a orły dumnie szybują ponad chmurami...

Był pewien lekki, lecz wiele mówiący odcień ironii w jej głosie.

— Mówisz seryo, kuzynko? — zapytał Grzmicki, biorąc ją pod rękę i odprowadzając do przyległego pokoju.

— Mówię najzupełniej seryo, kuzynie — odpowiedziała stanowczo Bronisia.

— A zatem poddaję się — rzekł paryżanin — przegrałem zakład.

— Cóż mi dasz jako wygrywającej? — zagadnęło dziewczę.

— Dam ci... pytanie...

Niepokój jakiś niewytłómaczony przejmował młodą dziewczynę.

— Oryginalna wypłata przegranej — odpowiedziała, starając się pokryć pomieszanie.

— Daruj mi tę oryginalność, szara jaskółeczko, i wymień barwy twego ideału.

Bronisia spojrzała nań mimowiednie i nagle spuściła oczy...

Krótki moment tylko trwającą, lecz bardzo ciężką przebyła walkę sama z sobą.

Brała ją pokusa powiedzieć kilka słówek, zlekka i ostrożnie odsłaniających tajemnicę jej serca przed niewdzięcznym, który tego sekretu domyślić się i odgadnąć nie umiał.

Pokonała tę pokusę zwycięsko.

— Nie znasz nas, nie znasz Polek, kuzynie — zaczęła powoli, z trudnością — chociaż czasy się zmieniły, myśmy pozostały wierne tradycyi naszych prababek. Pamiętamy o tem, że kobiety zakresem dom, mężczyzny świat, pamiętamy, żeśmy słabe i wątłe, i że silnej podpory w życiu potrzebujemy. Babki nasze znajdowały ją łatwo, bo inna była epoka! Przed młodą dziewczyną stawał człowiek, który już przebył szkołę ogniową, który w usługach kraju narażał życie, który już złożył dowody dzielności i męstwa... Prosił o jej rękę i oddawała mu ją chętnie i ufnie, bo wiedziała, że przyszłość swoją powierza zahartowanej dłoni człowieka, który już sobie zdobył szacunek i miłość u swoich.

Paryżanin słuchał i nie wierzył swym uszom. Skąd te słowa wziąć się mogły w ustach młodziutkiej dziewczyny, zagadniętej nagle w kwestyi, o której wolno jej było tylko myśleć w samotności niekiedy, ale o której nigdy z nikim nie mówiła zapewne?...

— Dziś inne przyszły czasy — mówiła dalej Bronisia, zapalając się coraz bardziej i ośmielając tem, że przypadkowo nikogo nie było w blizkości i nikt oprócz kuzyna nie mógł usłyszeć jej serdecznego zwierzenia — dziś ideały nasze nie noszą krzywych szabli, wyszczerbionych na karkach wrogów, ale i dzisiaj mężczyzna ma pole do odznaczenia się, do zasługi, do pożytecznej dla ogółu pracy i dziś, nawet za młodu, może zdobyć sobie to prawo do szacunku i miłości u innych, jakie się niegdyś zdobywało zazwyczaj na placu boju. Taki jest ideałem naszym... Jeżeli serce polskiego dziewczęcia uderzy dla kogoś, co jeszcze takim nie jest... — dodała słabszym nieco głosem — to trudno... sercu rozkazywać nie można.

Ale i wtedy w głębi duszy nosimy nadzieję, przekonanie, wiarę, że ten wybrany stanie się takim, jakim pragnęłybyśmy go widzieć...

Umilkła. Młody człowiek patrzył na nią w milczeniu.

Żywy rumieniec wykwitał na jej twarzy, spuszczone oczęta nie śmiały się podnieść na niego, a kibić szybszem unosiła się falowaniem.

Była piękną, uroczo piękną w tem pomieszaniu dziecka, budzącego się kobietą.

Uspokoiwszy się cokolwiek, zmieniła ton i prawie figlarnym głosem, zdobywając się nawet na złośliwość, zagadnęła:

— No, cóż, kuzynie, czy ten wielki znak zapytania, o którym mówiłeś mi przed chwilą, podobny jest w czemkolwiek do mojego ideału, którym ci nakreśliła, jak umiałam?...

— Wybacz, kuzynko — odrzekł żywo Grzmicki — po tem, co usłyszałem, winienem cię przeprosić, żem cię posądził o „pięknego Genia".

— A czy ci się podobał mój ideał? — dodała nieco ciszej.

— Tak dalece, że pragnąłbym nim być... gdybym umiał — odpowiedział poważnie, z uczuciem, paryżanin.

W żyłach Bronisi krew szybciej obiegać zaczęła. Doznawała, nie po raz pierwszy już przy kuzynie, jakiegoś nieznanego uczucia, o którem wiedziała tylko tyle, że się z niem zdradzić nie powinna...

— Chciej tylko — szepnęła — a będziesz umiał stać się takim dla tej, którą wybierzesz...

To powiedziawszy, wstała i odeszła, zostawiając naszego bohatera samego.

Elektryzujący wpływ wywarła na niego ta rozmowa, tak nowej dla niego treści, rozmowa, która przed nim odsłaniała całą czczość jego dotychczasowego życia.

Stanął przed nim, kilkoma zaledwie rysami nakreślony, ale wyraźny obraz obywatela, wobec którego on był tylko... salonowcem.

— A jednak ona kocha! — rzekł do siebie — gdyby nie kochała, gdyby tylko powtarzała wyczytane w książkach frazesy, gdyby recytowała zadaną lekcyę, nie byłoby w jej słowach tyle uczucia, tyle duszy i prawdy... Więc kocha... a mnie tak dalece są obce szlachetne rysy, w jakichby widzieć swego wybrańca pragnęła, że nawet poznać go nie mogę...

Nigdy jeszcze, po najcięższej nawet romansowej porażce, paryżanin nie był tak z siebie niezadowolony, jak w tej chwili...

Przez całą resztę zabawy był poważnym, ani razu już więcej tego wieczoru nie zapewnił pani Wandalskiej o swej kochającej i milczącej przyjaźni, nie zwracał uwagi na „gromona", który nie przestawał swych zdobywczych manewrów koło pani Heleny, nie interesowa się ekstazami pięknego Genia, nie śledził rozmowy i spojrzeń par kadrylowych, tylko ile razy wzrok jego padł na Bronisię, patrzył na nią, jak na zagadkę, której rozwiązanie stało się przedmiotem wyłącznie zaprzątającym jego umysł...

Biały dzień już zaświtał, gdy się skończyła zabawa w narajowieckim dworze i towarzystwo rozeszło się na spoczynek.

Towarzystwo, ale nie całe... Piękny Genio wybrał się do ogrodu, rozkoszować się widokiem poetycznego wschodu słońca.

Czynił to zawsze po przetańczonej nocy, jeżeli mróz dokuczliwy nie zagrażał jego delikatnemu zdrowiu.

Tym razem śliczny ranek podwójnym urokiem wabił trójwieszcza.

— Pójdziesz pan ze mną? — zagadnął paryżanina.

Grzmicki odmówił. Pragnął być sam.

W tej chwili mniej niż kiedykolwiek brał go apetyt na wieszcze zachwyty Leliwy-Założyńskiego.

Wymówiwszy się sennością, której nie czuł zupełnie, udał się do swego pokoju na górce.

Szedł wolno, głowę miał pełną myśli. Uczucie niesmaku i czczości dotychczasowego życia brało w nim górę, mizernemi mu się zaczęły wydawać wszystkie dotychczasowe tryumfy, wszystkie podboje, z których się czuł dumnym. Dostawał gorączki czynu, poczuwał w sobie siły, tęsknił za jakiemś polem działania, stawał się takim, jakim nigdy nie był. Wszystko mu się przedstawiało inakszem, niż dotąd, a przedewszystkiem inakszemi wydawały mu się kobiety...

Gdy przyszedł do swego pokoju, zastał w nim Kajetana, który, usłyszawszy jego kroki, otworzył mu drzwi.

Były żołnierz meksykański trzymał w ręku jakąś kopertę.

— Proszę łaski pana — rzekł — było się tutaj i przyszedł ten pan „gromon"... napisał list i kazał czekać, żeby się oddało w ręce panu samemu.

Grzmicki zdziwiony wziął pismo do ręki. Adres był jeszcze mokry, pisane było widocznie przed chwilą...

Rozdarł kopertę i przeczytał następujące, śpiesznie, drżącą z wzruszenia ręką kreślone wyrazy:

„Panie! Stało się... wyznałem i wzbudziłem tylko... uśmiech litości... Miłość moja nie ma żadnej nadziei... a wstydu przeżyć niepodobna... Kamień do szyi... Seret... i wszystko się skończyło!... Szczęśliwy jestem, że umieram... Kreślę te kilka słów ostatnich, żeby panu dać dowód, iż nie mam do pana urazy... Do widzenia na innym świecie, gdzie jest może odrobina szczęścia dla zrozpaczonych i odepchniętych... Do widzenia!...

Rzepski".

Podpis położony był zamaszyście, z dziką energią. Piszący czuł widocznie, że pisze *finis* pod dramatem swojego życia.

Pod bohaterem naszym nogi się zachwiały... Zawahał się, ale tylko na krótką chwilę.

Wczoraj jeszcze możeby nie wiedział, co uczynić, możeby się roześmiał z tego listu, dziś namysł jego trwał ledwie mgnienie oka.

Zmiął pismo i schował do kieszeni, przybiegł do okna, otworzył je z gorączkową szybkością, wskoczy na parapet, z niego na drzewo i znajomą drogą... nocne wyprawy za spódniczkami przydają się na coś niekiedy... zsunął się do ogrodu.

Flegmatyczny Kajetan przeżegnał się.

—W imię Ojca i Syna—zawołał — a z panem co się zrobiło?...

Nim domówił tych słów, Grzmicki był już na dole i znajomemi już sobie ścieżkami pędził w ogród.

Poznał dość dobrze Narajówkę i wiedział, którędy

do Seretu najbliżej. Rzeka płynęła zaraz w głębi poza ogrodem, który ku niej staczał się malowniczo. Nurt w tem miejscu był głęboki.

Niepokój dodawał paryżaninowi skrzydeł, biegł i nie czuł zmęczenia.

Nareszcie odsłoniły się drzewa i poza zieloności kobiercem zobaczył rzekę, a nad nią dwie szamoczące się z sobą męskie postacie.

Był to „piękny Genio" i „gromon".

Bohater nasz miał jeszcze do przebycia najmniej sto kroków. Nim je przebył, Rzepski odepchnął silnie „pięknego Genia" i, jak stał, wskoczył do wody, która się nad nim na chwilę zamknęła.

Młody Leliwa-Założyński pragnął widocznie powstrzymać szaleńca, ale to mu się nie powiodło. Został nad wodą i załamał ręce, a potem zaczął biegać po wybrzeżu, zanurzywszy palce w odrzuconą na tył głowy bujną, poetyczną czuprynę.

Drepcząc tak bezradnie nad rzeką, ów orzeł bujający pod chmurami wydawał się zaniepokojoną kurą, która wysiedziała kaczęta i boi się pójść za niemi do wody, ażeby nie dostać kataru...

Piękny Genio, nie mogąc sam dać pomocy tonącemu, nie wołał nawet ratunku — głos zupełnie zamarł w piersiach trójwieszcza...

W tej chwili nadbiegł paryżanin i jednym skokiem już był w nurtach rzeki.

Udało mu się schwycić samobójcę zaraz za pierwszem zanurzeniem się. „Gromon" był bardzo ciężki, ale się nie bronił. Dawał się wlec, jak kawał drzewa.

Nie stracił jeszcze przytomności.

— Po co mi życie — jęknął — daj mi pan umrzeć!...

— Głupstwo! — odpowiedział paryżanin — po takich przejściach pomiędzy mężczyznami, idzie się do kąpieli, ale nie w ubraniu...

W parę sekund później Rzepski był już wyciągnięty na brzeg.

Na szczęście nie potrzeba go było orzeźwiać i cucić. Nie miał czasu jeszcze opić się wody. Iść tylko z początku nie miał siły, ale i to nietyle z powodu osłabienia, jak z powodu kamieni, którymi wyładował sobie kieszenie, pragnąc się utopić klasycznie.

„Piękny Genio" był bardziej przerażony i oszołomiony tym wypadkiem, niż sam sentymentalny agronom, a gdy wreszcie ochłonął trochę z śmiertelnego przestrachu, zbliżył się do przemokłego paryżanina i, silnie wtrząsając jego ręką, zawołał:

— Panie! czyn pański wzniosłym był!... Uwiecznię go w poemacie, wyśpiewam w tomach pieśni, wymaluję na płótnie.

— O! niech pan sobie nie robi subjekcyi! — odpowiedział wesoło Grzmicki — ułóżmy lepiej jaką zręczną powiastkę, żeby tę awanturę upozorować przed paniami. Wyszedłeś pan na przechadzkę — mówił dalej, zwracając się do „gromona" — brzeg się obsunął i wpadłeś do wody... Wszak prawda, panie Emilu?...

— Niech i tak będzie — odpowiedział z westchnieniem „gromon".

Dwaj zmokli młodzi ludzie i suchy zupełnie poeta, malarz i muzyk w jednej osobie, powracali zwolna do dworu, gdy nagle z pomiędzy drzew ogrodowych ukazała się biegnąca z rozpaczliwym pośpiechem nad brzeg rzeki Bronisia.

Wieść o zaszłym wypadku błyskawicą doniosła się

aż do niej, narzuciła więc szybko jakieś okrycie na niezdjęty jeszcze strój balowy i co tchu pobiegła nad Seret, a gdy ujrzała naszego bohatera, nie zważając na obecność agronoma i „pięknego Genia", zawołała:

— A więc się tobie nic nie stało, kuzynie, a ja się tak przestraszyłam!...

Z oczu jej lekko zwilżonych padło na Grzmickiego spojrzenie pełne dziwnego blasku i wymowy.

Potem nagle Bronisia spuściła oczy, spojrzała po sobie i szybko ku dworowi uciekła...

* * *

Że po tej przygodzie paryżanin został bohaterem dnia, że państwo Horyńscy na jego cześć zaimprowizowali dalszy ciąg zabawy, na której większa część gości z dnia poprzedniego pozostała, i że na tej zabawie bawiono się znakomicie—zbytecznem byłoby dodawać.

Na trzeci dzień po rozjechaniu się gości i po wypoczynku, bohater nasz, siedząc w swoim pokoju, zajęty był pisaniem długiego, bardzo długiego listu.

W liście tym spowiadał się szczegółowo ze wszystkich doznanych wrażeń i malował stan swojej duszy.

„Nie poznałabyś mnie, mateczko — pisał — zmieniłem się, zacząłem na świat patrzeć poważnie, jestem inny, inny zupełnie. Zrozumiałem, że w życiu, nawet dla człowieka bogatego, nie potrzebującego się troszczyć o chleb powszedni, są wyższe i wznioślejsze zadania nad używanie, zabawę i łatwe romansowe tryumfy. A na tę lepszą, godniejszą rozumnego i szlachetnego człowieka drogę wprowadziły mnie tutejsze kobiety, nasze zacne, nasze nieocenione Polki. Im to zawdzięczać będę, jeżeli

życie moje dalsze nie będzie beztreściwem i bezwartościowem, jak było dotąd"...

Pisał tak długo jeszcze. Opisywał panią Horyńską, panią Wandalską, a gdy mu o Bronisi mówić przyszło, nie miał wyrazów, ażeby oddać te urocze barwy, w jakich ją matce swojej chciał przedstawić.

Nie skończył jeszcze, gdy uchyliły się drzwi i ukazał się w nich Kajetan, mówiąc od progu:

— Zdawało się, proszę łaski pana, że pan dzwonił...

— Nie, Kajetanie...

— A no, proszę łaski pana — rzekł były żołnierz dwóch armii — kiedy się już przyszło, to niech się podziękuje panu.

— Za cóż to takiego chcesz mi dziękować, wiarusie?...

— Za dobrą radę, panie, i za... swaty.

— Ach! za swaty?... jakże to było?...

— A no, proszę łaski pana — odpowiedział wojak— zapytało się Zuzi, czy to ona dla mnie nauczyła się *si je savais*, i okazało się, że rychtyk dla mnie...

— Więc się z nią żenisz?...

— Ha, cóż ma człowiek robić, proszę pana, z kimżeby się dziewczynisko po francusku rozmówiło, gdybym jej nie chciał?...

Życzeniem szczęścia i hojnym datkiem odprawił Grzmicki Kajetana i, nie kończąc już listu, wyszedł do ogrodu, tym razem drzwiami.

Przechodząc koło ławki, na której go spotkały dwie narajowieckie porażki, uśmiechnął się tylko na ich wspomnienie, usiadł i pogrążył się w zadumie.

Jak długo dumał, nie mógłby powiedzieć. Nie słyszał wcale, co się koło niego działo.

Nagle zbudziło go z zamyślenia wymówione srebrnym głosikiem:

— Budzę cię, kuzynku!...

— Słusznie czynisz, że mnie budzisz, Bronisiu—odpowiedział, spojrzawszy na nią—bo to,o czem marzyłem, snem było pewnie, z którego wkrótce rzeczywistość mnie zbudzi...

— A wolno wiedzieć, jakie było marzenie?...

— Znasz je już trochę, Bronisiu: marzyłem o tem, żem podobny do twojego ideału... Nieprawdaż, że im prędzej zbudzę się z tego snu, tem lepiej?

—Nie rozumiem cię, kuzynie—z niepokojem odrzekło dziewczę—dlaczego z takich marzeń budzić się koniecznie?...

— Więc mi o tem marzyć pozwalasz?...—zawołał, patrząc jej w oczy.

— Czemuż nie?—odpowiedziała, nie zdając sobie sprawy z doniosłości tego pytania, Bronisia.

— Pozwalasz, żebym do listu, który piszę do matki, dodał mały przypisek, aby przybyła tutaj, bo ją chcemy prosić o błogosławieństwo...

Bronisia, drżąca i wzruszona, chciała coś powiedzieć, ale głos jej w piersiach zamierał.

— O błogosławieństwo—powtórzył Grzmicki—i o pozwolenie, ażebym, pozostawszy tu, na tej ziemi, której winienem życie, mógł, mając ciebie przy boku, pracować na stanowisko obywatelskie, o jakiem każde dziewczę polskie dla swojego wybrańca marzy...

Ujął ją lekko za rękę i patrzył na nią pytająco.

— Milczysz, Bronisiu?—zapytał.

— Idź i napisz—szepnęła cicho, a on jej drobne rączęta do ust gorących przycisnął...

KONIEC.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 1287 A KS. ARCHIWALNY
Biblioteka Publiczna
39,64
13